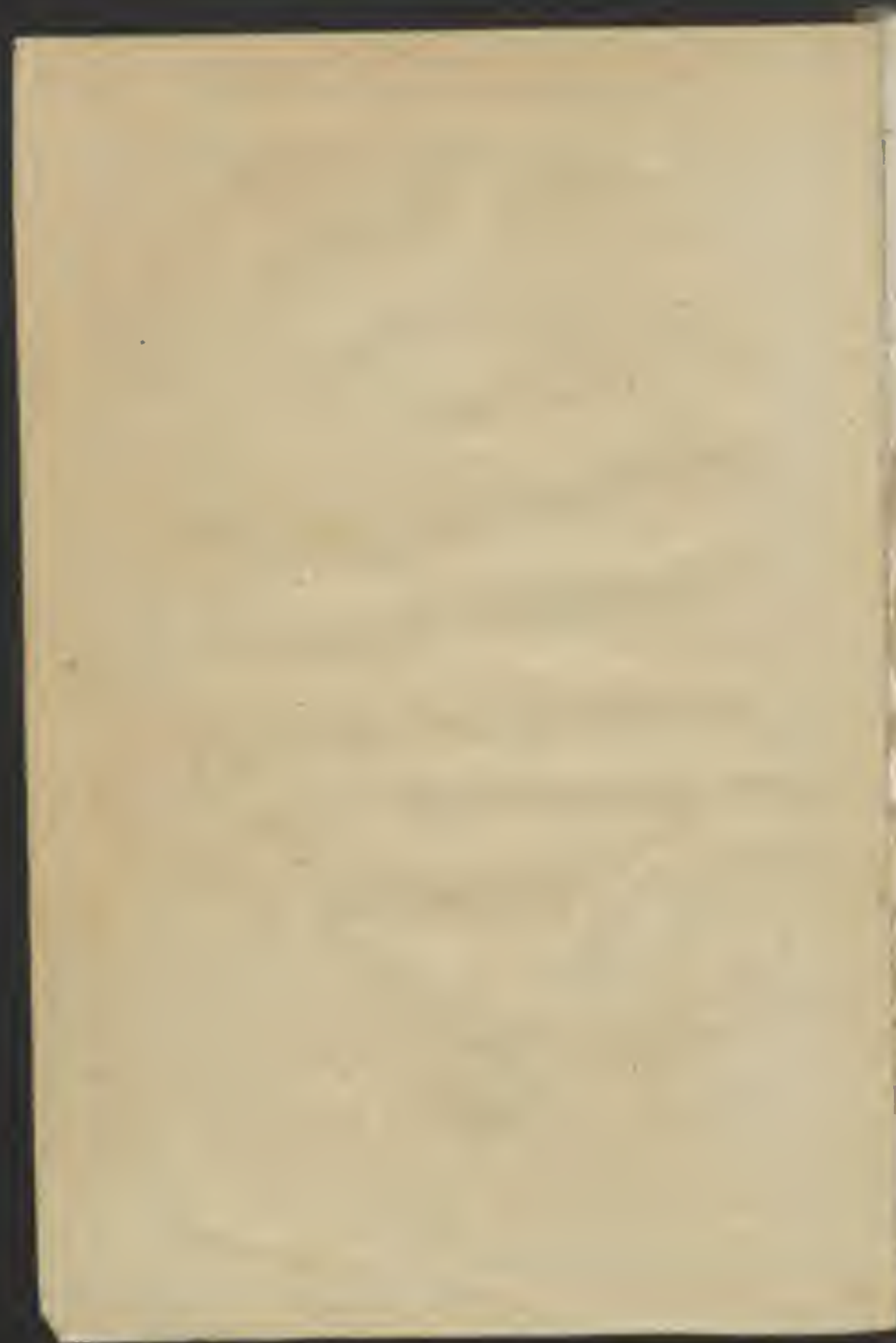






M338

Dio. Pochmann's 1st. 1800



*Woj. Pałowski
№ 188.*

ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom czterdziesty piąty.



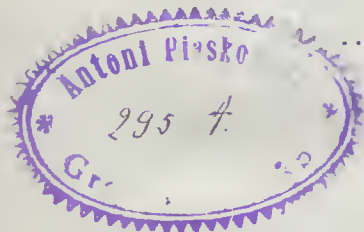
TOMKO PRAWDZIC.

WIERUTNA BAJKA

PRZEZ

J. I. Krászewskiego.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.



.... Rzekł mu Płat : Co jest prawda ?
S. Jan Rozdz. XVIII, w 38.

????????????????
Epigraf z niewydanej rozprawy
o Filozofji przez X. X.

Wierutni!

LWÓW.

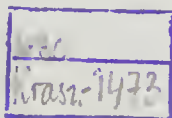
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.

1873.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.

Prez. 4



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

SŁÓWKO AUTORA.

Powiastkę tę, jeżeli ją tak nazwać można, zaczynałem, rzucałem, pisałem i przestawałem kilka razy, czując dobrze jak wielkie i niestosowne zadanie w maluczkich i lekkich objąć chciałem ramach. Ale z człowiekiem tak się najczęściej dzieje, że go niepodobieństwa nęca i trudność wabi urokiem jakimś; — dla tego może powracając po kilkakroć do Tomka, którego sobie umiłowalem, nareszcie skończyłem go, czując dobrze że to Jean Paul'a i jeszcze jakich kilka w dodatku piór potrzeba było, żeby to choć znośnem uczynić.

Znając ułomność dziecięcia i przyznam się szczerze, że to jedno z moich ukochanych, rozśmiejecie się zapewne, a ja wcale się za to gniewać nie myślę. Miłość, nawet w takich sprawach wyrozumować się nie da, i logiką zwyciężyć ją niepodobna. W teraźniejszym wydaniu Tomko z bardzo maluczkimi odmianami, pokazuje się takim jakim powstał w latach gdy u nas wszystko na filozofią chorowało. Dziś może mniej zajmie, bośmy zupełnie zobojętnieli, nie żebyśmy mieli być lepsi, ale żeśmy na innym jakimś szczeblu życia,

na którym nie wiele nam chodzi nawet o to co w istocie najgoręcej serce-by i umysł zajmować powinno. Nie umiem określić nawet co dziś najbliżej serca naszego? a boję się zgadywać, bym przykrzejszej nad wszystkie w tej książeczce zawarte prawdy, nie powiedział.

Czytajcie jeźli możecie, przebaczcie jeźli się nie podoba.

Żytomierz dnia 3. Maja 1857 r.

Hubin dnia 28. Stycznia 1850 r.

Do

WALERJANA WRÓBLEWSKIEGO

w Zielińcach.

Oto masz znowu kochany Walerjanie książeczkę moją, a co gorzej, jak widzisz, przypisaną Tobie. — Żal mi, że nic innego w tej chwili nie mam co bym ci mógł przestać, bo Bóg jeden wie jakiego losu i przyjęcia dozna nasz Tomko Prawdzic. Dziwaczna to ramota, kochany Walerjanie, a może i nicpotem, ale jak biedne, chore, słabiutkie dziecko, ja ją kocham, i jak przyjacielowi ojciec to dziecko przynoszę. Daj Boże, byś sobie moje dla słabej dziecińcy uczucie wytłumaczył.

Kochaj mnie i nie zapominaj o mnie, twój

Józef.



I.

Żaden wielki człowiek nie urodził się jeszcze bez zwiastujących go świata przepowiedni — jest to rzecz dowiedziona. Celem tych prorocstw, które się dopiero najjaśniej tłumaczą, gdy ich tłumaczenie na nie się już nikomu nie przydało, jest zapewne: świat nprzedzić, aby go bohater z nienacka nie zaszedł, i palpitacją serca nie nabawił.

Czytajcie Plutarcha, Korneliusza Neposa, lub zresztą jakiegokolwiek żywoty sławnych ludzi dawnego autoramatu, a przekonacie się, że każdy z nich oznajmił się we śnie, czy na jawie, jakim symbolicznem marzeniem, lub brzemienym w znaczenia wypadkiem. Starożytni, których przywykliśmy szanować, nie puścili w świat żadnej biografji bez tego nagłówka; my po części ich naśladowując, po części dla tego, że nie chcący im jesteśmy podobni jako ludzie, po części, że choć nie powinniśmy, trochę zawsze wiążymy jeszcze w przeznaczenie; my także utrzymujemy jak oni, że wielkich ludzi kolebka cudami się otacza, i wpatrujemy się w jutrzrenkę, gdy nam oznajmią o mającem wschodzić słońcu.

Nasz także bohater — —

Ale nie powiedzieliśmy o tem, że mamy dla was bohatera w kieszeni.

Stójmy więc, a wprzód nim opiszemy jak on się światu zapowiedział, wyłuszczy my *more antiquo* i przez uszanowanie dla samej Logiki, kto on był i z kogo się rodził.

Procedencja bohatera jest rzeczą wielkiej wagi, już dla tego, aby rzeczywistą jego egzystencję dowiodła tym, którzy gotowi w nią uwierzyć; już żeby nasza klejnotna szlachta nie krzywiła się, sądząc, że ją częstujemy jakimś szerepetką, który wypadł sroce z pod ogona. — Darnjcie mi to wyrażenie, nie jest ono nasze i nie pierwszy się raz drukuje, mamy za sobą powagę autora Soplicy, który także nie wypadł sroce z pod ogona.

Zacznijmy więc od procedencji, genealogji i zwykłego wstępu.

Na pocziwej Litwie, którą powszechnie mają za mniej ncywilizowaną od reszty tego świata, którego była niegdyś częścią, żyła zacna rodzina Prawdziców. Biedna nasza Litwa, że trochę przeciągło wymawia, że często dorzucza *du*, że nie mnska czupryny wymyślnie, używając zamiast grzebienia pięcin swych palców, a jeździ kałamaszkami, wszyscy ją mają za mniej ucywilizowaną. Boże odpnąć potwarcom! dla nich cywilizacja cała w krawieckich nożycach, tanecmistrzowskich krygach i wiedeńskich koczach.

Na Litwie tedy żyli państwo Prawdzicowie. Wiecie bez pochyby, że to stary ród szlachecki? Wszakże musieliście czytać herbarz przynajmniej Niesieckiego pod pretekstem historii, a w istocie dla tego, że teraz znowu

w modzie herby i herbarze. Wiecie więc, że herb Prawd-
dzie (tak nazwany dla tego, że prawdy w podaniach
o nim dopytać się trudno) pochodzić ma z Dacji, i że
na nim wyobrażony jest lew. Nie lew, jaki bywa po-
prostu w naturze, jaki się sobie swobodnie na czterech
nogach przechadza po afrykańskiej pustyni, ale ów kon-
wencjonalny heraldyczny lewek z wywieszonym języcz-
kiem, z zakręconym wytwornie ogónkiem, ufryzowany
starannie i umiejący służyć na dwóch łapach jak szpice.
Ten lew, mówi jezuita Niesiecki, trzyma w łapach
Prawdę, a ta prawda jest żelazna!

Zakrzyczycie mnie pewnie pytaniem jak wygląda
owa prawda? co to jest prawda? Ale stójcie! Ta że-
lazna Niesieckiego prawda wyglądająca na kształt ob-
warzanka (kształt symboliczny) jest z rodzaju stoło-
wych prawd, co to je kładną pod butelki i szklanki,
aby dobrze wychowani ludzie nie poplamili dobrze wy-
pranego obrusa. Jest to tedy tylko podstawkowa, nędzna,
biedna prawda, o którą i pytać nie warto.

Prawdźcie zaś wywodzą się od owego Androklesa
(zobacz w wypisach na klasę drugą), którego nasz Nie-
siecki przezwiał Androdem, a który w Afryce Lwa ule-
czył, za co lew wspaniale mu się odwdzięczając, poca-
łował go potem w rękę przed prokonsulem i zgroma-
dzonym ludem. Prokonsul zaraz jako człek domyślny
(pisze Okolski, który o tem wie najlepiej, bo mu to
krewni bliscy Androklesa rozpowiadali) *stante pede*, na-
dał nie tylko Lwa na własność Androklesowi, ale mu
go za herb przyznaczył, mówiąc: Słuchaj chłopcze!
Jak herbów zaczął używać, co ja już przeczuwam, twoi
potomkowie będą mieli gotowy.

Androkles uklonił się, schował nadanie do pugila-

resu i na tem się skończyło.

A że wszystko to *nieprawda*, potomkowie Androklesa, którego na świecie nie było, zowią się Prawdzicami. Zdaje się logicznie — nie zarzucić nie można.

Tych Prawdziców nie tylko u nas w Polsce, ale po całej Europie pełno było: Menninowie w Etrurji, hrabiowie de Dinheim nad Renem itd. wszystko to Prawdzice, Androklesowicze. Któryś z tych Lwów ożenił się z dziedziczką (herbowną) czerwonego muru: odtąd mur czerwony zakrywający pół lwa (dla przyzwoitości) zjawił się na herbie.

Któryś z nadreńskich Dinheimów znown ożenił się z córką Jana Prawdy hrabi na Szczawinie i Trąbkach, sędziego ziemskiego Gostyńskiego; a gdy dawano w łapy Dinheima pannę Prawdziankę, włożono i w łapy herbownego lwa prawdę, aby jego także czemś zaspokoić. Ztąd konfiguracja herbu, jaką ją dziś szczęście mamy oglądać. Lew tylko jakby nierad z owej niepożywnej żelaznej prawdy, skrzywił się zaraz i dotąd się krzywi.

Prawdzice pisali się z Trąbek, z Labiczyna, z Gólczewa, ze Szczawina, a tak się z czasem rozmnożyli (*coclo favente*), że z nich wyrosło kilkadziesiąt familji. Nasi Prawdzice mieli przydomek Łaszców, a któż z was znown nie wie, że pierwszy Łaszc za Zygmunta III. podgolił sobie czuprynę?

Był to wypadek na pozór drobuy, ale ogromne mający w istocie znaczenie; pierwszy co sobie łeb podgolił, czuł że ta moda odpowiadała potrzebie wieku, że już za Zygmunta III. ledwie trochę czuba różniło nas od mieszkających u Bonifratrów. Wiek Zygmunta III. i symboliczny Łaszc poczynają epokę upadku. Niestety trwał jeszcze dla podgolonych czupryn mięsopust długo

a prawnukom dopiero zostały — popiół i śledzie i długie włosy *a lá moujik*.

Stary pan Prawdzic miał imię Bartłomiej; śliczne imię hreczkosieja, imię, z którym złym gospodarzem być nie można, bo ci nieustannie przypomina, że na imieniny pierwsze żytko posiać powinien.

On był Bartłomiej, ona miała imię Hanna. Jejmość równie dobra szlachcianka, rodziła się z Leliwy, a po ojcu używała roli (na pieczęcie, gdyż ojciec nie zostawił jej ani zagona); nazywała się nawet Rolanka. Pocciwy to był ród.

Dziwnym składem okoliczności, matka Prawdzica starego była z domu Krojów (alias Lemiesz choć to nie wszystko jedno), co wedle niektórych dowodziło nobilitację od pługa, na co nosy krzywiono, wołać gryfy i jastrzębie od pocciwego pługa, dającego chleb i znaczącego pracę!

Mówię wam zaprawdę, że nie darmo nasi herbologowie, zwłaszcza Okolski, prawią zawsze o charakterze rodów — o! nie darmo!

Ludzie co nosili w herbach Rolę, Kroję, z ojca w syna byli gospodarzami. Wyrwał ci się niekiedy i z tego spokojnego gniazda zawadyja, paliwoda, rębacz, wojak, ale to ogólnego nie łamało prawidła: dom przecie był gospodarski.

Macie tedy już do sytości o przodkach i antenatach, może nawet za wiele, ale nie chciałem pozostać w tyle od innych historyków naszych, którzy do żywota bohatera bez tego wstępu, jak do obiadu bez kielicha wódki przystąpić nie umieją, lepiej się potem reszta trawi.

Dla czegożby doprawdy życie dziadów nie miało w pewien sposób objaśnić historii wnuków? Wszak do-

wiadujecie się, kto rodzi konia, gdy go do stada kupić macie, pytacie się także, jaka krew w jego żyłach płynie? I myślny trochę konie pod pewnemi względami.

Nasi przodkowie dają nam narzędzia, któremi dusza od Boga zesłana ma się światu objawić.

Ważne są i one (ja zupełnie pojmuję dla czego starożytni jacyś prawodawcy krzywe i słabe dzieci topić kazali jak kocięta). — Arystokraci nasi mają wielką słuszność, że się z przodków chlubią: mięso, ciało, bydłęcą swą część są im przecie winni; boć spodziewam się, że nie myślą im dziękować za duszę, którą Pan Bóg jednaką i równą każdemu daje.

Bartłomiej Prawdzic dożył naszych czasów w świętej prostocie, świętej mierności, niewinności i pokoju, a obrzydzeniu tych szatańskich inwencji, któremi młodsze pokolenie zachwyca się jako postępem.

Miał on na Litwie wioseczkę jak wszystkie nasze, z jednej strony lasy, z drugiej błota i sianożęcie, łąkami poletki i wioska z dwudziestu złożona chat, czarnych, dymnych, niskich, biednych. W końcu jej stała karczemka i kościółek, dalej nieco dworek w drzewach starych, prawdziwy dworek szlachecka. Około niego łamusiak i sernik wysoki, studnia z żórawiem, loch z białą pierśią i grzbietem garbatym, stodoła z krzyżami i rakiem budowy wyszytym misternie snopkami na dachu. Dołem przy młynku nad grobelką stała gorzelenka, staroświecka, pochylona, okopcona, trochę kulawa, a w niej ile kotłów, kociołków, czapek, trąb, śwędn, błota, dymu, żydów i satysfakcji!

Wspominamy tu o wszystkich budowach gospodarskich, o których słowaby rzec nie czuł się obowiązany innego kraju powieściarz, a to dla tego, że one

regulowały i przytykały zewsząd do życia pana Bartłomieja. Coby on robił, gdyby ich tam nie było? gdyby z kąta w kąt nie chodził, nie dreptał, nie gderał i co się zowie nie gospodarował! Pocziwa pani Hanna miała także swój wydział gospodarski: podwórko ptastwa pełne, motki płótna, grzyby, jagody, lekarstwa, apteczkę, przysmaczki, wygódki, kuchnię; do niej wyłącznie należące.

Jak tam czas schodził? wiecie już pewnie. Modlitwy, gawędka cicha i nienamiętna, gospodarska, powolna, z wieśniakiem narada, pomoc w potrzebie dla niego, nabożeństwo — to były jedyne żywioły ich życia. Czasem sąsiad gość, czasem jakieś dziwne i z karbów zwyczajności wychodzące zdarzenie, ożywiały to spokojnem korytem płynące *żytko* szlacheckie.

(Darujcie neologizmus, przebaczcie uwadze że *żyto* musi się tak nazywać, z powodu, iż utrzymuje życie.)

Bartłomiej Prawdzic ożenił się jak Bóg przykazał, poczuwszy wolę Bożą, jak to dawniej mawiano, bo śmierć i żona — przeznaczona! Ożenił się ani za wcześnie, ani zapóźno, ani z szalonej miłości, ale wedle rodzicielskiej woli i serdecznej inklinacji, biorąc w stanie swym towarzyszkę i dozgonnego *przyjaciela*.

Nasi ojcowie kobietę wynosząc na małżonkę, nie *przyjaciółką* (uchowaj Boże) ale ją zwali *przyjacielem*. *Przyjaciółkami* zwały się kobiety wcale innej kategorii; *przyjacielem* żona, którą w ten sposób na dostojęństwo *męża* a raczej *mężyny* biblijnej wynoszono. Nikła płeć w tem nazwaniu pełnem głębokiego a niepostrzeżonego dotąd może znaczenia, szacunek okrywający kobietę, żonę, nie dozwalał nawet przed ludźmi o

uczuciu, z którem my się dziś tak głośno popisujemy, wspominąć.

Nazwanie to oznaczało, że brali żony dla przyjaźni nie dla miłości, nie dla pleci ich. W tem słówku jest może więcej niż w mnogich rozprawach o obyczajach.

Język! wielka skarbnica narodów! gdyby historia zapomnianą została, jeszczeby główne jej wypadki, jej ducha, z językowych świadectw odbudować można.

Anna, którą mąż także panną *more antiquo* nazywał (a i to ma głębokie znaczenie), godną była poszanowania i miłości małżonka.

Nigdy niewiasty świętszej, cichszej, łagodniejszej, skromniejszej, pracowitszej, w złym razie wytrwalszej nie widziano. Żyła cała w mężu i mężem, skinienia jego patrząc, by je uprzedzić. Pan Bartłomiej pomimo przywiązania i pocziwości swej, miewał czasem chwile cierpkie, gryzły go kłopoty, czyniące niecierpliwym, opryskliwym i przykrym. Ona to wszystko nśmiechem lub słówkiem, które jej serce podyktowało lepiej od najwykwintniejszego rozmowania, umiała uśmierzyć, ukolysać i zbolale serce ugoić.

Przeżywszy z sobą w stanie małżeńskim lat piętnaście państwo Prawdzicowie, jednego tylko żalowali: Bóg nie dał im potomstwa. Oboje w początku okrutnie na to cierpieć, gdy się spostrzegli, że częste wspomnienie zwiększało ich boleść, przestali o tem mówić, by sobie ulżyć wzajemnie.

Jejmość z uśmiechem, choć łyzy miała w sercu, cieszyła się głośno, że dziecka nie miała, jegomość zapalczywie jej ze swej strony wtórował, przywołując dykteryjki o niewdzięczności dzieci względem rodziców.

Ale co się tam w ich duszy działo!

Modlili się potajemnie, robili wota skryte, suszyli i pielgrzymowali, ale długo nadaremnie. Aż nareszcie po latach piętnastu, jednego poranka gdy razem pili piwo grzane u dębowego stolika z warcabnicą, pani Anna podniosła się, pocałowała w czoło lysawe pana Bartłomieja i uśmiechając się rzekła:

— Słuchajcie no panie Bartłomieju, mam jegomości coś dobrego powiedzieć.

— No! no! a cóż to takiego, odezwał się mąż wesa ocierając, cóż to za rarytas, że się tak moja panno wybierasz, by czajka za morze. Musi to być nie lada specjalna nowina.

— Nie mylisz się jegomość, Bóg dobry obiecuje pocieszyć nas potomstwem.

Któż odmaluje co się stało z panem Bartłomiejem! Porwał się od stołu i zaczerwieniony chwytając żonę w pól, zawołał głosem drżącym:

— Handziu! serce moje, nie żartujesz! na Boga miłego moja panno, wszak nie żartujesz?

— Jakżebym śmiała! a jeszcze w takiej rzeczy! go-dziłożby się?

Oboje stali chwilkę milczący, jej łzy się potoczyły po twarzy, jemu usta i ręce drżały z radości.

— Przecież Bóg mnie wysłuchał, niech mu będą dzięki! rzekł siadając.

— Ciebie kotku? uśmiechając się odparła jejmość, chyba mi nie, powiedz lepiej, ty ciągle powtarzałeś, że dzieci nie lubisz, że ich wcale nie żądasz. Ja, Bóg widzi, od lat trzynastu tylko o to się modłę.

— Jejmość! a dla czegoż ciągle mówiłaś zawsze, że to wielki ciężar i wielka odpowiedzialność przed Bo-

giem kto ma dzieci, że lepiej jest nie mieć, niż utracić lub widzieć jak marnie pójdą?

— Mówiłam ci to nieraz, nie zapieram, ale...

— Ba! rozumiemy się, obojeśmy pobożnie klamali! Nagadaliśmy sobie siła że nie chcemy dzieci, bośmy się ich nie spodziewali, a serca sobie rozraniać nie chcieli, ale oboje zarówno ich żądaliśmy. O! złota moja Haudziu jakim ja szczęśliwy, jak panu Bogu memu dzięki składam.

— Usiądź-że, uspokój się kochanie...

— Samabyś siadła moja panno i uspokoiła się, tobie teraz nawet pewnie stać nie zdrowo. Patrzajcie, dodał po chwili, będziemy mieli dziecię.

— A! a! a nie mylisz się no tylko moja panno!

— Zwiodłam-że kiedy jegomości? spytała żona ze słodką wymówką. Nie przecie dotąd nie wiedziałeś, a to już od czterech miesięcy. Pytałam się znachorek, starej kowalowej i Elżbiety, niema wątpliwości.

— Jeszcze pięć miesięcy czekać! niespełna pół roku, długo to długo, ależ wyściskam chłopca jak się urodzi!

— A któż ci powiedział że będzie chłopiec?

— Ba! a prawda, słusznie kochanko mówisz! To jeszcze na dwoje widłami pisano, albo, albo, proszę, a muie się zdawało?...

— Bóg jeden wie co nam dać raczy.

— A ja bym przysięgł, że syna mieć muszę.

— Nie łapmy ryb przed niewodem.

Pan Bartłomiej zamyślił się, westchnął i dodał:

— Zapewne.

Jakie tam były potem troskliwości, obawy aż do urodzenia potomka, opisaćby trudno, jejność donosiła dziecię szczęśliwie.

Ale tygodniem przed urodzinami pan Bartłomiej miał dziwny sen. We śnie tym co widział, nazajutrz temi słowy przed miejscowym proboszczem, księdzem Sycyną, opowiadał:

— Nadedniem, mości księże kanoniku, zdało mi się jakoby był na szerokiem, bardzo rozległym, ba nawet-bez granic i widomego końca, polu. Widziałem wyraźnie wszystkie przedmioty na niem znajdujące się, a była ich moc nieprzeliczona. Wszystko, co na świecie widzimy, o czem słyszymy, tu się razem znajdowało. Zdaleka błyszczał Oceanus, bliżej płynęły rzeki, jeziora bily o piaszyste brzegi, ryczały zwierzęta dzikie po głębokich ciemnych lasach, bili się ludzie, inni zasiewali pola. inni żęli, pielgrzymowali wielkimi kupy, płynęli okrętami, budowali miasta, burzyli grody, lub siedzieli nieruchomi nad księgami.

W jednym końcu tej czarodziejskiej doliny świeciło słońce wytrzeszczonem okiem, na drugim wrzała burza sroga. Były tam, jakem wam mówił wprzód, morza, góry niebotyczne, doliny głębokie i ciche a chłodne, puszcze ciemne i piaski arabskie, wszystko to jedno obok drugiego razem zlane w doskonałe *totum*; rzekł-byś księże kanoniku, jabłko z jednej strony rumiane, z drugiej żółtoblade.

Gdy stoję, a spozieram ciekawie (boć było na co patrzeć) uważajcie tylko — z piersi mojej, z piersi! mości kanoniku, wychodzi, *znak zapytania, signum interrogationis*,

?

i ani obejrzawszy się nawet w świat rusza.

Znak ten zapytania miał główkę w jasne włosy ubraną, kij w rękę, sakwy próżne na plecach i smu-

ne jakieś niebieskich ocz wejrzenie. Mimowolnie zająłem się nim, i już tylko nań spoglądałem.

Szedł poważnie, niekiedy zastanawiając się po drodze, od kamienia do kwiatu, od kwiatu do ptaka, do zwierząt, do ludzi, do miast, do siól, do gór i dolin, do rzek i mórz, a do wszelkiego tworu bożego.

Zdawało się jakby je o coś rozpytywał, bo cóżby innego mógł robić znak zapytania? ale ja ani jego głosu, ani dawanych mu odpowiedzi nie mogłem dosłyszeć.

Po każdej niedoczekanej czy odebranej a niedostatecznej odpowiedzi, znak zapytania pokiwał główką, zwrócił oczy w niebo i ruszał dalej. Długo tak poglądałem na to zjawisko osobliwsze, aż nareszcie, gdy znak mój zniknął w oddaleniu, przebudziłem się. Cóż to znaczy mój ojciec? Sen nadto dziwny, żeby miał być nie nie znaczący.

— Sen w istocie dziwaczny, odpowiedział ksiądz Sy-cyna, zamyślając się i zażywając powoli tabaki, sen bardzo dziwny. Ale sen mara, pan Bóg wiara, mój kochany panie Bartłomieju!

— Przecież mój ojciec, bywały sny wieszczce!

— Tak, starożytni bardzo w nie wierzyli, mieli oni nawet, jak to panu wiadomo, swoich *Dii somniales*, Bogów snu, objawiających swe wyrocznie marzeniem; nie bez tego żebyś też pan nie słyszał, że i oni różniali sny przychodzące przez wrota *rogowe* i wrota *z słoniowej kości*, to jest wieszczce i fałszywe.

Więcej też jest snów zwodniczych, pochodzących od ciała, od szatana. Wiemy o tem z pisma świętego, że nieraz Bóg zsyłał widzenia we snach prorocze, ostrzegające, okazujące przyszłość, ale tylko tym, którzy na szczególniejszą jego łaskę zasługiwali.

— Nie pochlebiam sobie.

— Więc lepiej daćby pokój interpretacjom wszelkim, bo w dodatku, kochany panie sąsiedzie, jam nie Josephus on, i nie czuję w sobie powołania do snów wykładu. Bóg wie co to znaczy, a najprędzej czysta fantazja i igraszka. Czy nie wpatrywałeś się asindziej bardzo w znak zapytania na książce jakiej, czy nie odczytałeś się zbytecznie *nowych Athen*?

— Od niedzieli księże kanoniku w rękę książki nie trzymałem krom kalendarza, kalendarz zaś nie obfituje w znaki zapytania, a *officium* na którym się modłę, także.

— Prawda! a zatem to igraszka imaginacji.

— Jednakże mości księże kanoniku, gdybyśmy spróbowali sobie wykladać?

Ksiądz Sycyna ruszył ramionami.

— Znak pytania, rzekł, jest sam z siebie rzeczą złą i potępioną. Grzech pierworodny był zuchwałym znakiem zapytania, na nim stoi cała filozofia świecka, bunt aniołów przeciwko panu Bogu niczem innem nie był także krom zbrojuym znakiem zapytania. Ciekawość pierwszy stopień do piekła, a znak ciekawości jest znakiem piekielnego niepokoju duszy.

— Co mówisz ojeze?

— Tak mi się zdaje. To jego szwendranie się po całym świecie waściny, jak opowiadasz, także nic dobrego nie znaczy. *Dobre* siedzi cicho w kącie, *złe* tylko szuka napróżno spoczynku, którego nigdzie znaleźć nie może. Tandem płunąć a porzucić.

— Masz jegomość racją.

I na tem skończyła się rozmowa.

Sen jednak był proroczy.

II.

Wkrótce po tym śnie tak dziwnym urodziło się panu Bartłomiejowi dziecko, był to syn, a dano mu imię dziadowskie Tomasz.

Opisać radość matki i umiesienie ojca, ich uściski, łzy i pijatykę na chrzcinach, trudno, a gdybyśmy *per extensum* ten opis tu umieścili, nie wieleby się w nim nowego znalazło. Od niejakiego bowiem czasu tak bogaci jesteśmy w tego rodzaju obrazki narodowe, że moglibyśmy ich nieco nawet za pomierną cenę innej jakiej literaturze ustąpić, ale któż to kupi?

Idziemy dalej.

Rodzice tak byli uszczęśliwieni, że im nawet na myśl nie przychodziło posprzeczać się o wychowanie dziecięcia. Nie widzieli też wcale dwojakiej ku temu drogi, jedną tylko.

Tomko był ślicznem dziecięciem jasnowłosem, niebiesko-okiem, rumianem, nie zbyt żywym, ale jak to mówiono, *ciekawem*, rozmyślającym chętnie od lat młodych i tęsknem.

Wszystko go zastanawiało, o każdą rzecz długo bez końca, z zapytania w zapytanie wpadając, do ostatka badał. Zbywano go wreszcie ni tem ni owem, a dziecko zbyte nie uspokojone pokręcało główką, milcząc posłusznie gdy mu zamilknąć kazali, nie przestawało myśleć i badać.

Ojciec i matka spoglądali po sobie, dziwili się ze strachem dowiecowi wielkiemu, wróżyli przyszłość świetną, i panu Bartłomiejowi uieraz sen ów na myśl przychodził, a gdy go przypominał, kiwał głową bardzo długo.

Gdy Tomko podrósł nieco, poczęto mówić o dyrektorze, ale na nieszczęście starzy owi dobrych czasów dyrektorowie co służywali za pięćdziesiąt złotych i dwie pary butów, a jako *praemium diligentiae* otrzymywali w dzień imienin pańskich lub na rok nowy starą kapotę łątaną na łokciach; co to utrzymywali rejestra ekonomiczne, pilnowali w gorący czas pańszczyzny i batożyli chłopów niemilosiernie, — znikli już byli z horyzontu.

Nie podobnego nie trafiło się.

Pan Bartłomiej sam wychowany przez podobnego dyrektora i synowi innego nie życzył. Tymczasem ksiądz kanonik Sycyna zajął się początkową nauką chłopięcia, a nie mając co robić, bo go wikarjusz z niewielkiej parafji wyręczał, uważając Tomka za dobre *subjectum*, podjął się chętnie trochę go podkrzesać.

Nie długo to wszakże trwało; bo sobliwym trafem, zesłany został panu Bartłomiejowi taki właśnie na pozór dyrektor, o jakim marzył, jakiego sobie życzył.

Jednego letniego wieczora, gdy z gumienym w ganku o jutrzejszej robociznie rozprawiał, roztrząsając, czyby lepiej było nowe kosić sianko, czy już pokoszone gromadzić, we wrotach psy zaszczeły.

— Kogoż tam pan Bóg prowadzi do nas? spytał gospodarz.

Postać wcale niepośpolita nkażała się na podwórku, wysokiego wzrostu, ale trochę pochyły już mężczyzna, z obwisłym wąsem, łysą głową, oczyma szaremi, głęboko w powiekach siedzącemi, usty skrzywionemi, jakby do uśmiechu szyderskiego, w długiej sukni ciemno-ceglastego koloru, podpasanej rzemieennym pasem z kłamrą mosiężną, z kijem ogromnym w ręku, kroczył powoli ku gankowi.

— *Laudetur Jesus Christus.*

— *In saecula saeculorum. Amen.* A co nam dobrego powiecie? spytał pan Bartłomiej.

— Dobrego? he? rzekł nieznajomy. Wszystko *dobrze* poszło dawno spać i obudzić się nie może, *niezgorsze* drzymie, a *złe* chodzi po szerokim świecie. Dobrego dawno w oczy nie widziałem.

— Któż jesteście i co was do nas prowadzi?

— Jestem człowiek jak widzicie, goły ale wesoly, stary ale jary, a prowadzi mnie Pan Bóg i oczy.

— Ale cel waszej podróży?

— Cel! ha! cel! *enigma*. A kto z nas wie dokąd idzie? odparł szydersko nieznajomy.

Pan Bartłomiej nie wiedział już jak zagadnąć, żeby się czegoś przecie więcej dowiedzieć.

— A zatem, rzekł, nie pytając więcej, witam was i proszę do chaty.

— Kolej tedy pytać na mnie, bo bez pytania nie ma rozmowy, a bez rozmowy nie ma życia. Nie potrzebuje czasem bakalarza?

— Jakto? wy bylibyście?

— Do usług waszych, stary Jakób Dołęga, a teraz ani *kup* bo nie ma za co, ani Dołęga; tylko niedołęga, starzec co zęby zjadł do pieńków na suchym chlebie dyrektorskim. Posłyszawszy że u was chłopiec dorasta, i że mu już pierwsze zęby powypadały a drugie narosły, przystawiłem się ofiarując moje usługi.

Mile zadziwiony pan Bartłomiej — że się bez porady żony nie nie działo, wywołał zaraz panią Hannę dla obejrzenia dyrektora i zasiągnięcia jej zdania.

Jakób Dołęga znany był w sąsiedztwie zdawna, ale z dziwnych słuchów które o nim chodziły. Nazywano

go najpowszechniej dziwakiem, jak pospolicie zowią tych których zrozumieć nie mogą. Na to nazwisko wielce podobno zasługiwał, szydził łagodnie prawie ze wszystkich, prawie ze wszystkiego, zdawał się w nic nie wierzyć choć czasem gorąco się modlił; miewał chwile wesela głośnego, to znów raptusy złośliwego smutku, w których chłostał nielitościwie co mu na ząb wpadło. Czasem roztrzepany jak dziecko, to znów poważny i surowy, szalony lub chmurny, nie wywnętrzał się nigdy do głębi, ani w utrapieniu ani w szale wesela. Obawiano go się i szanowano razem, był bowiem przy tych wadach uczciwy i cnoty nieposzlakowanej.

W życiu całem nic złego dobrowolnie nie popełnił, ale dziwactw bez miary i końca. Starego szlacheckiego rodu, w młodości nawet *possessionatus* i dosyć majątny, stracił, przehulał co miał, nie zatroskawszy się nawet gdy mu już kąta własnego nie stało.

Wziął kij, podpasał się i poszedł wędrować i nieczyć dzieci.

Gdzie był, jak wiek do starości przepędził, nikt dokładnie nie wiedział.

Co lat kilka ukazywał się w swej okolicy, posiedział w niej chwilę i znów *per pedes*, jak mówił, wędrował dalej. Grosz się go nie trzymał, bo nim rzucił, jakby jeszcze był bogatym i krewni niechętnie przyznawali się do niego, on z nich sobie żartował. Że zaś jeden z braci był prezesem sądów granicznych, drugi sędzią powiatowym, myśleli że dostojęństwa, które na ramionach dźwigali, do ubogiego Dołęgi przyznać się im nie dozwalały.

Znajomych pełno miał wszędzie; serdecznych przyjaciół mało lub żadnych (któż ma przyjaciół serdecznych

o kiju chodzący i torbie?) wspomniał czasem jednego, ale i ten dawno już był umarł; był to przyjaciel młodości.

Rodzaj Diogenesa, wszelki wytwór i wygodę jako niewolę i pęta uważał, mówiąc że nie my rzeczy których potrzebujemy lecz rzeczy nas mają. Sypiał na twardym tapczanie, chodził w jednej opończy na powszednie i święta, jadł za przysmak chleb razowy z solą i wodą.

— Nie siedzę nigdzie długo, mawiał, bo nie chcę pokochać nikogo; to tylko kłopot niepotrzebny.

A że pod ogorzałą i zmarszczoną skórą bilo mu serce miękkie, rychło zewsząd uciekał, bo prędko pokochał.

Co umiał zresztą? nikt tego dokładnie nie wiedział: to pewna że z księdzem po łacinie o teologii rozprawiał jak teolog; z prawnikiem o procesie jak jurysta; z gospodarzem o roli jak ekonom, co by na tem zęby zjadł i nawet z Niemcem doktorem o medycynie po niemiecku szwargotał; talmud żydowski czytał dla rozrywki wieczorami, jakby był wychrztą.

Lubił bardzo czytać, choć ten szal czytania nie zawsze go napadał. Czasem z książkami zamykał się, namiętnie w nich zagrzebując, czasem na nie plwał i odrzucał je ze wzdargą. Słowem, był to człowiek niepojęty.

Takiego nauczyciela przyjął pan Bartłomiej do syna; w początku na rok, na dwa tylko początkowe lata zamierzając go zatrzymać; ale i mistrz do chłopca i dziecię do mistrza i rodzice do pocziwego Dołęgi tak się serdecznie przywiązali powoli, że rok za rokiem nplwał, a oni rozstać się z nim nie chcieli, owszem sami

go zatrzymywali gdy brał za kij, i prosili usilnie, żeby pozostał jeszcze.

Stary mruczał, trochę się wyrывał i siedział: dziecku cudownie jak kwiat o słońcu grzejącem otwierała się i rozpromieniała główka.

Tego co to pospolicie zowią *naruką* u nas, nie dał mu mistrz wprowadzić; faktów, dat, figlów uczonych nie napchał mu do głowy; ale głowę do pojęcia wszystkiego co na świecie uderzyć o nią mogło, usposobił i otworzył. Nie począł on jak pospolicie czynią nieforemnej roboty bez narzędzi; narzędzie wprzód zaostrzał i sposobił.

Tomcio miał to co zowią otwartą głowę; roztropny, pojętny, ciekawy i wiedzy chciwy aż do zbytku, łaknął tem żywiej, im bardziej Dolega ociągał się z wlewaniem mu nauki. Mistrz nie na pozór nie robił, przygotowywał tylko ucznia jak powiadał; uprawiał rolę, przewracał skiby, dwoił, troił, skrudlił, przepędzał, a na ziarno, powtarzał, bardzo jeszcze czasu dosyć.

Jednego poranka, nie wiedzieć jak i dla czego, nieodebrawszy reszty biednej należnej mu płacy, niepożegnawszy się z uczniem i rodzicami jego, znikł stary bakalarz. Dokąd się udał? dla czego dom opuścił? nikt nie miał wytłumaczyć.

Ale Tomcio był na drodze, którą dalej już sam mógł się jako tako kierować.

Oddano go tedy do szkół jezuickich; tam bystrem swem pojęciem niebardzo wszakże podobał się nowym swoim nauczycielom. Nadto szybko przejmował się przedmiotem nauki, i przechodząc zakreślone jej granice, sięgał po za stojące w kolo mury, co ją przegradzały. Nauczyciele na jego pytania zuchwale dziwnie potrząsali głową.

Potem zaczęto go wybadywać, czyby nie miał ochoty wstąpić do zakonu?

Tomko odparł naiwnie, że nie czuje w sobie powołania. Starano się je wzbudzić, na próżno. Z filozofji odesłano go ojcu, zapewniając że już bardzo dosyć umie na prostego szlachcica i przyszłego hreczkosieja. A Tomko utrzymywał *cum debita reverentia*, ruszając z lekka ramionami, że nic a nic z gruntu nie poznał, a ledwie począł z rudymentami cokolwiek się oswajać.

Ojciec na to *dictum* odwrócił się poważnie i spytał go:

— A co waści w głowie? czy to chcesz wyjść na uczzonego żeby łokciami świecić? czy na księdza?

— Nie ojcie dobrodzieju, ale chciałbym coś umieć.

— Toć ojcowie jezuiti najlepiej wiedzą ile tobie umieć potrzeba, dość ci na szlachcica tego co masz; bodaj czy nie więcej tam liźnałeś odemnie, com tylko z łaciną się trochę poborukał i rachunku skosztował, a *Gradus ad Parnassum* znam tylko z widzenia. Po cóż waści więcej, księdzem taki nie bądźsz, bo mówią powołania nie czujesz.

— Nie czuję ojcie dobrodzieju!

— Więc po cóż ta nanka? Żebyś potem pocziwą gospodarką i szlacheckiem życiem gardził, mędrkował i świdrował myślą.

Tomko zamilkł i spuścił głowę.

— Z wielkiej nauki, mówił dalej ojciec, muchy się w nosie lęgną, to raz; — powtóre, głowa się do góry zadziera, co także licha warte; tysiące złych myśli do głowy nalatuje i ze szczęścia, z życia bożego kwita. Nanka spokoju nie da, szczęścia nie da, a dziurawo łokcie i obałamuconą głowę nieochybnie.

— Mój ojcie, wybąknął ośmielając się Tomko, wychowany w staroświeckiem uszanowaniu dla rodziców, uatehnionem też prawdziwem do nich przywiązaniem; ojcie mój drogi, nie gniewaj się na mnie.

— A za cóż bym się miał gniewać?

— Za to co powiem może zbyt śmiało.

— To waść lepiej nie mów.

Syn zamilkł posłusznie, uklonił się i chciał odejść; pan Bartłomiej pogladził wąsa, ruszył ramionami, obejrzał się na żonę, która napróżno dawała mu znaki, aby Tomkowi owszem odwagi do szczerości poddał.

— No i cóż tam? spytał ojciec.

— Wola ojca dobrodzieja święta, nic nie powiem.

— Grzeszny jestem; ciekawość mię bierze, co to tam tak głupiego miałeś powiedzieć. No mów śmiało, nie będę się gniewał. Już to widzę ta pora przychodzi, że jajca knury uczyć i przewodniczyć im poczną. Słucham waści.

Trzeba wiedzieć że pocziwy pan Bartłomiej jako żyw uigdy się w sercu na dziecię nie gniewał i wedle tradycji, gdy sądził że należało okazać oburzenie, nanczyć *mores*, wystąpił z powagą swoją i objawiał gniew niezgorzej udany jak na domorosłego aktora, aby dziecię z karbów nie wychodziło.

Tomko przy swoim rozumku naiwny był i prostoduszny na podziw, czasem się to jedno z drugim go dzi i jedno z drugim chodzi całe życie.

— Ojcie dobrodzieju, rzekł, to co mam mówić, przeciągnie się, chcę wypowiadać się szczerze i do głębi serca.

— No to mów-że waść, mów!

— Proszę więc o cierpliwość.

— Kto ma dzieci, musiał się jej nanczyć, odrzekł pretensjonalnie pan Bartłomiej, zawijając poły od kaptury i siadając na sepeciku obok żony. Potem założył nogę na nogę, łokieć oparł o stół, łysą głowę wziął w dłoń namulaną i siwe oczy wlepił w syna, którego mniąc w rękę sorducinę stał przy progu pokornie, ze spuszczeniem oczyma.

Pani matka nie odwróciła oczów od jedynaka, pasąc je swym ulubieńcem; a w wejrzeniu pocziwej niewiasty tyle było głębokiego rozumu! Rozum bowiem i miłość patrzą jednakowo, i choć częstokroć działają całkiem przeciwnie i jedno na przekór drugiemu, któż nie przyzna, że wejrzenie wszelkiej miłości pełne jest najwyższego rozumu?...

III.

— Kochany ojcze, kochana matko, rzekł po chwili Tomko, dawno mi to na sercu cięży, żem sobie uczynił postanowienie bez zezwolenia, bez wiadomości nawet waszej; a jednak postanowienie niezłomne.

— Wszystko na świecie jest złomne, odparł surowo pan Bartłomiej — ale o jakimże to postanowieniu jest mowa? Głowęś miałbyś sam sobą kierować?

Tomko westchnął.

— Opowiem jak do tego przyszło, rzekł. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy na naszym herbownym klejnocie zobaczył Iwa nad mur wspiętego i coś trzymającego w łapach.

Spytałem starego Szymona co by to było? odpowiedział mi — słyszałem że to — *prawda*. Cóż to *prawda*

Szymonie? dobadywałem się z kolei. — A ot, rzekł wskazując mi na stole słomianą podstawkę pod butelki, ot *prawdę*. — Ale, dodał, słyszałem, że prawda którą ten lew trzyma w łapach, ma być żelazna. — Do czego się zda prawda żelazna? pytałem go znown. — Pan Bóg to jeden raczy wiedzieć — rzekł Szymon rozstawiając misy na stole. — A dla czegoż to prawda okragła? mówiłem znown. — Dla tego paniczu, że nie kwadratowa! odparł; a ta żelazna prawda herbowa ćwiekiem mi w głowie utkwila odtąd.

— Ale cóż może mieć za związek waścina dykteryjka, spytał ojciec, z waścinem postanowieniem?

— Natychmiast się to wyjaśni, smutnie pośpieszył syn z odpowiedzią.

— Dotąd nie nie rozumiem, waść musiałaś podwarjować!

Tomko niżej spuścił głowę i mrnczał dalej.

— Odtąd myślałem tylko, sam nie wiem dla czego, o prawdzie, wszystkich się pytałem, co to prawda? a od nikogo o tem dostatecznie dowiedzieć się nie mogłem. Różnie różni tłumaczyli, odpowiadali, a ze wszystkiego widać, że to jest jeszcze głęboką tajemnicą. Nikt dotąd nie wie dobrze co to jest prawda?

— Jakto nie wie? oburzył się ojciec. Szymon to waści bardzo dobrze wytłumaczył, czegoż u diaska chcesz jeszcze?

— Ale to ojcze dobrodzieju, ja już podrosłszy od żelaznej i słomianej do duchownej prawdy przyszedłem i o nią się chciałbym dopytać. Ale i ta dla mnie żelazna.

— I prawisz o nich jak o żelaznym wilku, gderal ojciec miotając się, czyś się waść blekotu obiadł? czy sfiksowałaś?

— Postanowiłem życie moje poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Dalipan oszalał, oszalał! Nauka przewróciła mu głowę! Co mi prawi o prawdzie! Alboż to nie wiesz trutniu jakiś, że prawdą jest — wszystko co prawda....

Tu stary zaciął się i splunął.

— Że prawdą jest wszystko co prawdziwe, co nie fałsz, co....

— Co nas uczy wiara, co nam mówi serce! dodała matka, ratując jegomości który się jak wróbel w siatce targał.

— O tóż to! tak miałem mówić, podchwycił Bartłomiej — święta i sliczna odpowiedź! Otoż masz z ust matki rezolucję finalną i idź spać.

Tomko z uszanowaniem pocałował matkę w kolano ale milczał.

— Jeszcze ci nie dosyć?

Milczał uparcie.

— Postanowiłem, odezwał się po chwili, życie poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Ale po cóż szukać znalezionego?

— Nie wszyscy, kochany ojczy, mają szczęście w świętą taką prawdę wierzyć, rzekł Tomko. Każdy ma swoją wiarę, swoją prawdę, a cudzą fałszem zowie. Po szerokim świecie tysiące mniemanych prawd chodzi; mnie się zaś widzi, że powinuaby być jedna tylko wielka prawda, jak jedno jest słońce co nam przyświeca i Bóg co nas stworzył.

Rodzice spojrzeli po sobie, a ojcu nagle przyszedł na pamięć ów sen dziwaczny, który urodzenie Tomka poprzedził. Poblądł stary, ruszył ramiony i nic nie rzekł.

— Pytałżeś się kogo o te twoje mary? wybąknął po chwili.

— Wszystkich.

— Cóż ci odpowiadano?

— Każdy co innego.

— Musi to coś być na kształt tego, że prawda z każdej strony inaczej się wydaje. Ale po co waści ten klin sobie bić w głowę — kie lichy ci go naniosło? Co tobie do tej prawdy? Prawda prawdą a ty Prawdzicem, szlachcicem, hreczkosiejem, katolikiem i kwita.

— Spać nie mogę, jeść nie mogę.

— Toby ci głowę ogolić kochanku! No — ale cóż ci przecie świta, co myślisz sobie z tą swoją djabłą prawdą?

— Pójdę w świat po nią.

Rodzice się porwali; ojcu znak zapytania we śnie widziany stał przed oczyma. Marzenie więc było wijsze, chłopiec w kolebce przeznaczony na dziwne losy! Dwie lzy srebrzyste puściły się ukradkiem z oczów panna Bartłomiejowi, a matka?

Matka darmo plakała i łkanie tłumila.

Stary ojciec nie pojmował syna, ale w sercu tłumaczył sobie to niesłychane przedsięwzięcie jakąś wolą wyższą, której dla niego sen był znakiem. Matka, co już była o śnie tym zapomniała, rozplynęła się we lzy jak po straconem dziecięciu.

— Tomaszu, spojrzij na lzy matki, te cię wstrzymać powinny, sucho zawarł pan Bartłomiej.

Tomko ukląkł przed nią i całując ją w ręce szepnął:

— Ja powrócę, matuniu! nie sprzeciwiaj się, nie wstrzymuj mnie, iść muszę.

— Ale po cóż? dla czego?

— Za prawdą!

Tomko Prawdzic.

— Nie mówiłam-że ci, że najbezpieczniej jest szukać jej w wierze i w sercu?

— A! matko kochana! matko droga! odparł syn ci-cho — wiarę zachwiane we mnie, serce mówi do mnie niewyraźnie, mówi znakami których sobie wytłumaczyć nie umiem. Puść mnie, puść — ja wrócę do was, powrócę!

— Starzyśmy oboje, przerwał pan Bartłomiej — czas by było synowi nas wyręczyć, spodziewaliśmy się tego. Praca mi już cięży, gospodarstwo nie idzie w ład.

Tomko stał nieugięty, milczący.

Próbowano jeszcze ntrzymać go wszelkimi sposoby, prosząc i płacząc, perswadując, lecz wszystko na próżno. Nareszcie rodzice powiedzieli do siebie: Nie zabawi on tam dlnego, powróci do zacisza, niech gdzie chce idzie z Bogiem.

A zatem zajęli się smutną wyprawą.

Gdy po staremu szlachcicu z domu rodzicielskiego wyjeżdżał w świat szukać szczęścia, by znaleźć najczęściej guza lub planę — czasem oboje, niestety! — wyprawiono go wierchem z kilką talarami bitemi i skórą bitą także na pamiątkę; ntrzymują drudzy, że nieraz bito za powrotem (świadkiem Winnickiego przygody), inni że bito i w drodze, temu wierzyć nie chcę, boby po takiej bijatyce wnuki z guzami chodzili.

Dawano także kilka talarów, nie wiele, by szczupły zapas pieniężny groźbą niedostatku podsycił umysł i zmuszał do dobywania losu szturmem; bita skóra była jakby przypomnieniem, że na drodze do wzniesienia się lękać się nie trzeba cierpienia. Potem błogosławiono, płakano i młodziennice obierzynowane, pełen nadziei w świat ruszał — z Bogiem!

Nie tak już wyszedł nasz Tomko, bo i czas był minął gdy szlachta w ten sposób symbolicznie żegnana z domów ruszała szukać losu.

Dokola zmieniał się wszystko ludzkie, twory tylko boże zostały jak były od wieków. Obyczaje, myśli, dążenia, środki, wszystko przedzierżnęło się nagle, inną przybrało twarz, inne suknie; wiek jeden konał, drugi się rodził wesół, śmiały i pewien siebie, choć mu z oczów nie patrzyło, by miał wyjść na co pocziwego.

A my nagle ze średniowiecznych obyczajów i bytu, skoczyliśmy bez przejścia prawie, bez widocznej przyczyny w nowe życie, prostem tylko naśladowaniem namiętnem.

Zegar wieków uderzał pierwsze godziny XIX stulecia.

Tomko o kiju, ze łzami w oczach wychodził z domu; ojciec i matka stali w progu i płakali patrząc. Szedł jak żebrak, jak ubogi szukać — czego? — czego oni nie rozumieli, czego podobno nikt jeszcze nie znalazł.

Idźmy i my za nim.

IV.

A gdy wyszedł Tomko na szeroki świat, pojaśniało mu rychło w oczach, poweselało na sercu; uczył się sam i swobodny. Przed nim otworem stał cały boży świat, niezmierny, rozmaity, różnobarwny. Pamięć rodziców i rodzicielskiego domu znikła prędko przed namiętnem pragnieniem wiedzy, przed ciekawością młodzieńczą, która w nim gorączką wrzała.

Staął, by się obejrzeć.

A w głowie myśl mu błysnęła:

— Dla czegożbym nie szukał naprzód prawdy w tworach bożych? czyliż usta ludzkie powiedzą kiedy więcej nad nie, lepiej nad nie, o tajemnicach stworzenia i myśli przedwiecznej? Czyliż żywy twór nie więcej świadczy od czczego słowa?

Rzucił kij i usiadł na kamieniu; a była to chwila blisko południa i lato właśnie skwarne.

Słońce sypało złotemi promieniami do koła, rozlewając ciepło żywotne, świat cały w barwach jasnych i wesolych, lśnił oczy młodzieńca.

— Prawdą jest światło! prawdą jest życie, prawdą ciepło, prawdą wszystko co widzę! wykrzyknął Tomko w zapale uniesienia.

— A czemuż będzie ciemność, śmierć, chłód i to czego w tej chwili nie widzisz? spytał nagle małeńki człowieczek, który z pod stóp Tomka jakby z ziemi wyrósł.

Nie zląkł się nasz bohater niespodziewanego zjawiska, spojrzał na nie ciekawie, zamyślił się i zamilkł.

Człowieczek ów, który zdał się z ziemi wychodzić, ubrany był nową fożą a bardzo wykwintnie. Ogromna fryzura spadała mu upudrowana na barki, stosowany kapelusz miał pod pachą, szpadkę u boku z porcelanową rękojeścią (wyglądającą w istocie jak widelec), aksamitną suknię mordore szytą blaszkami i jedwabiem, kamizelę atlasową w złote kwiatki, jedwabne na nogach pończochy i książkę wyglądającą z kieszeni.

Powitali się podróżni i potrzeba było wzajemnie zarekomendować.

— Jestem Lucyfer baron von Teufel, odezwał się przybyły; od dawna także szukam prawdy i znaleźć jej nie mogę. Pójdziemy razem młodzieńcze pełen nadziei i będziemy uczyć się wzajemnie; mi nie może brak już

siły, tobie doświadczenia, podeprzemy jeden drugiego. Nie tracąc czasu, powiadasz że ciepło, ruch i życie jest prawdą? Mijam to że ciepło, ruch i pewne życie znajdziesz w gnijącym trupie; ale czemuż będzie wszystko przeciwne?

— Falszem odparł Tomko naiwnie.

— Dla czegożby fałsz miał egzystować obok prawdy i na równych z nią bytu prawach? Hm? powiedz mi, po co *jest* fałsz?

— Fałsz jest brakiem prawdy, znów splełtany rzekł Tomko.

— Dla czegożby prawda miała być tak dziwnie mierzona i dzielona po odrobinie; dla czegożby jej niedostatek miał walczyć z nią samą jak to widzimy codzień?

Idźmy i patrzmy, a nie wyrokujmy.

Młody chłopiec spuścił głowę i zamilkł, baron Lucyfer uśmiechnął się nieznacznie — w cichości spoglądali, a Tomko często się zastanawiał i głęboko zamyślał.

Przeszedłszy kawał drogi, siedli odpocząć nad brzegiem rzeki, i mimowolnie zwróciły się ich oczy na otaczające skały masy. Podnosiły się one połamane, siwe, omszone, w dziwnych kształtach, dając znać o sobie, że ich wieki pożyć i skruszyć nie mogły.

Baron Lucyfer widząc jak Tomko ciekawie wpatruje się w skały, zagadnął go:

— Co ci one mówią?

— Mówią mi bardzo wiele rzeczy, których ja jeszcze jasno nie rozumiem.

— Pozwól więc mi być tłumaczem. One ci mówią, że *byt* nie jest udziałem tego co my zowiemy właściwiej życiem, żywotem jednostki, że dłużej trwa ka-

mienna masa, niżeli ruchawe żyjątko. Gdzież ta twoja prawda, która mówiła, że ruch tylko jest życiem prawdziwym, prawdą samą? One ci mówią, że materja i materji prawa są prawdą jedyną; reszta wyrostkiem, brodawką, która okazuje się i znika. *Forma mutatur, materia permanet*. Nie tak-li?

— Tak jest, odparł Tomko, ale obok tego i *Materia mutatur, forma permanet*, będzie także drugą prawdą, nie mniej od pierwszej prawdziwą.

Oba zamilkli, Lucyfer zażył tylko tabaki, Tomko pochylił się smutny, a pod nogami swemi ujrzał kwiat pełen woni i cudnymi barwami odziany.

Kwiat ku niemu podniósł wonną swoją główkę i uśmiechnął się.

— Co to prawda? Spytał go Tomko.

— Prawda to moja szata niebieska, to moja woń, to ja. Wszystko reszta jest fałszem i uludą. Zaczniij od kwiatu, a wytłumaczysz świat cały: wyrwij go z ziemi, a życie ustanie wszędzie. Skąły rozsypują się pod nogi nasze, na pokarm gnije dla nas zwierze. Bez nas niema zwierzęcia, niema człowieka. Człowiek jest tylko pierwszym naszym sługą; my środkiem stworzenia. Wiem że powiadacie sobie, iż dla was służy wszystko, że wy jesteście wszystkim; my toż samo myślimy o sobie. Powtarzam ci — prawda — życie to ja: to kwiat!

Baron Teufel, który leżał pod ogromnym kamieniem nad wodą i słuwał na nią, bawiąc się kółkami które na niej powstawały, rozśmiał się głośno słysząc te dumne słowa.

Grzyb ze starego puia wysadziwszy głowę, począł mu wtórować.

— Co za dziwna pretensja! krzyczał z oburzeniem

zakładając na ucho swój ogromny skrzydlaty kapelusz. Kwiat jest głupią i. nieforemną karykaturą grzyba! niedoskonałym grzybem, któż tego nie wie. Wszystko poczyną się od alfy — grzyba i na omega — grzybie kończy. Grzyby rosną wszędzie, począwszy od nosa człowieka, który często za wygodne i miękkie służy im siedlisko.

Grzyb jest najdoskonalszym bez wątpienia stworzeniem: obie pleci ma w sobie, rozpladza się lada dotknięciem do ziemi, powietrze służy mu, nosząc wszędzie jego zarodki silne, do najniedojrzańszych pyłków i bryłek. Wszędzie my jesteśmy, my królujemy, reszta nasze *prostratum*. Grzyb prawdą, grzyb życiem, reszta podściołem na którym on sobie wygodnie urasta.

— Milczałbyś muchomorze zjadliwy, krzyknął Lucyfer pięścią go gniotąc — paplesz zupełnie jak człowiek i siebie bierzesz za ognisko wszystkiego, bo reszty nie rozumiesz. Siedź póki cię kto zdybie i milcz.

Ucichło, ale muszka przelatując tamtędy siadła na kwiatku i brzęczeć zaczęła:

— Co za życie kwiatka i grzyba? Bez ruchu, bez głosu, bez ciepła? Ja to żyję! ja żyję lepiej od nich, ja jestem jedynym życiem i prawdą żywota. Nie pytaj innych, każdy ci powie że najdoskonalszy, ale popatrz się tylko okiem bezstronnem, nie ja li czasem jestem istotną panią stworzenia? Lece, idę, biegnę, płynę na trawy zdziebelku gdy zechcę, gdzie zechcę. Budowa ciała mojego doskonała a prosta. Patrz co za śliczne skrzydelka, jakie nóżki zręczne i kształtne! A jak mało potrzeba mi do życia? Jednej kropelki z kielicha kwiatu, trochę pyłu który wiruje w powietrzu. Jam życiem. Jam samą prawdą.

W tem doleciał ptak i muszkę połknąwszy tak zaśpiewał:

— Ja to jestem prawdą życia! w stworzeniu stoję pośrodku, latam, pływam i chodzę; głos mam czarowny, mam szatę bogatą, mam kształty wytworne, jestem królem i panem świata — czem wy przy mnie? Nie-wolnicy czolgający się po kale i gnoju.

Zaświergotał, zatrzepotał skrzydełkami i uleciał. Wtedy żaby i ropuchy podniosły z głębi wód, z jam w szczelinach ziemi, głos ogromny, oburzenia pełny.

— Cha! cha! cha! cha!...

Cały naród wodny i sprzymierzone węże, płazy, skorupiaki, żółwie, powysadzały głowy na wierzech, porozdziawiały paszcze i za boki się trzymając rychotały od śmiechu.

— Cóż to za bałamut? rzekła stara ropucha blisko w dziurze siedząca, sam nie wie co bredzi. Życie, jego życie! co ono warto, proszę? funta bym klaków nie dała za nie. Naprzód że krótkie do licha. My możemy żyć w szczęśliwem uspieniu, pół życiem, pół marzeniem roskosznem, zamknięte w skale, zarosłe w drzewie lat tysiące, nie nie potrzebując do podsycenia w sobie życia; bo w nas samych jest silne jego ognisko. Wyjm mi serce, wyjm mózg, rozplataj którą z moich przyjaciółek, a z sercem, z mózgiem, z raną nie odbierzesz nam życia. Z jednego rozciętego dwa ci wyrosną płazy.

Żółw dodał poważnie, z pod kaptura wysadzając nos zatabaczony:

— A kiedy przyjdzie kochać, toć kochamy nie tak na przykład jak te błazny wróble co tylko skrzydełkiem musną ulubioną i ruszają dalej. — Nasza miłość trwa tyle, ile drugich życie.

Muszele i inne twory z głębi wód, adwokatom swoim potakiwały wesoło, a węże świstały radośnie.

Stara ropucha zakaszawszy, tak dalek mówiła:

— Chwalcie się sobie wszyscy jak chcecie, a nasza prawda: Królestwo nasze ogromne. Wszystko co jest, jest niedoskonałym plazem. Mniej daleko ma doskonałe organa i słabsze nierównie życie.

— Siedziałabyś cicho Sofistko! chlupnął polyp — śliczne życie! Jedno serce, jedna głowa, jeden i do tego wcale kiepski żołądek! — U mnie zobacz co się dzieje. Serce, żołądek, piersi, wszystko co u was porozdzielane, porozrywane, u nas jest jednym, niewiadomo gdzie się co poczynia, gdzie się kończy. Za to też tuż mnie sobie jak chcesz, węzłów życia we mnie bez liku, odrodzę się do nieskończoności.

Tysiące różnych głosów drobnych a nieskończenie licznych zaśpiewały chórem, głusząc polypa, który zanurzył się rychło i wzgardliwie odwróciwszy uszedł.

— Nasz jest świat, my życiem i prawdą, śpiewały Helminthy — myśmy żywota żywotem, wszystko nam służy i dla nas jest. Od kropli wody począwszy do kropli krwi ludzkiej, do mózgu i lzy waszej, gdzież nas niema? Jesteśmy wszystkim i wszędzie. Gdzie u których istot co się tak chwala sobą, znajdziesz taką różnaitość kształtów nieskończoną, tak dziwaczne a swobodne przemiany? Wyście tylko pastwą naszą, świat należy do Holminthów!

Ale chóru śpiewaków co ich otaczał, nie słuchały stworzenia ani ludzie; algi nad wodą kiwały zielonemi głowami a stary szczupak wąsaty, który wszystkiego cierpliwie słuchał, ruszając tylko skrzelami, rzekł uśmiechając się do barona:

— Miła rzecz to życie, którem się przechwalają polipy! polowa ich nie rusza się nigdy z miejsca, druga niema najmniejszego czucia, lub przynajmniej znaku jego nie daje. Wystaw sobie, kochany paule, że niektórym pokarm całkiem zbyteczny; żyją lichy tam wiechem, na stole cudzym, nie smakując, nie gryząc i nie oblizując się. Dziadunio za nich je, wujaszek trawi, a wnuk wypływa niepotrzebne. I to do czego się żaden także polyp nie przyzna. a wiem najpewniej, że wielu umiera miłości nie znając, nie mając wyobrażenia jej. Jakie życie, taka miłość! Miłość przez plenipotentów !!

To mówiąc a nie mogąc dłużej wytrzymać na powietrzu, szczupak zamurzył się chwilę, poczem *iterum* głowę podniósł i tak mówił dalej, pokręcając wąsa:

— Przyznam się waszeci, że się bardzo dziwię, jak możecie żyć samem powietrzem? Takie to czeze, ni-kłe, nudne i nieposilne! I my go tam po troszę używamy; ale żeby w niem żyć całkiem i ciągle, przyznam się asindziejowi to *absurdum*!

— Masz rację, rzekł szydersko baron, ja sam, choć jestem człowiekiem, tej potrawy niestrawnej, która ci się ciśnie do ust nieproszona, cierpieć już nie mogę.

— Bo cóż jest powietrze, mówił zapytując się szczupak — jeżeli nie rozrzedzona woda? Co jest światło, jeżeli nie rozpromienione powietrze (darujcie szczupakowi, nie uczył się fizyki w naszych szkołach, a pod wodą djabli wiedzą jacy profesorowie). A co jest ziemia, jeśli nie woda zgęśła znown? Prawda, mości dobrodzieju, jest w wodzie, wszystko jest z wody, wodą, przez wodę *et sic porro*.

— Najniezawodniej, potwierdził baron, a szczupak

w wodzie żyjący jest niezawodnie też królem stworzenia.

— Pochlebca! myślisz że nie wiem o innych starszych i godniejszych odemnie (oprócz sumy, którego dziwną pretensją do arystokracji się brzydę).

— O starszych, ale o rybach — dodał baron.

— To się rozumie. Ryba ma wielką oczewiście wyższość nad wszelkiem innem stworzeniem, żyje bowiem w elemencie, który jest jedynym, zasadniczym.

— Wszakże i to niegorsze jak na szczupaka dowodzenie! Szczęściem że nas powietrze nie słucha, bo by ci odpowiedziało, że woda jest tylko spalenizną i węglem.

Tomko słuchał rozpraw i milczał.

W tem wieśniacy przyszedli paść woły, a bydło idąc ryczało także swoje pochwały, nie czekając końca rozmowy ze szczupakiem.

— Co za głupcy! wszakci któż nie wie że na czworonogich i ssących kończy się i zamyka stworzenie, którego są koroną. Człowiek jest popsutem zwierzęciem, które się jak szpic na dwóch łapkach skakać nauczyło i zaparł się swoich nóg i wziął na nie rękawiczki żeby nie było widać, że kopytko na pięć palców rozdlubał, tysiące lat koło niego dlubiąc.

Myśmy panami stworzenia! Kopcie w ziemię, znajdziecie tam wołu przedpotopowego, mastodonta i protoplastów naszych, których my jesteśmy prawem potomstwem i spadkobiercami.

Czem człowiek przy tych olbrzymach? Płonie mu iskierka jasna w kątku głowy i nią się strasznie chwali. Cha! cha! siła to życie, siła to prawda. — Słoń królem stworzenia!

Ucichło; owce powtarzały chórem:

— Słoń królem stworzenia!

A osioł strzygąc długimi uszami, ryczał:

— Jesteśmy z nim w pokrewieństwie — przez twar-
dość skóry. Zawsze mnie *mon cher cousin* nazywa.

(Wszelka arystokracja lubi się swemi związkami
wychwalać.)

Mul w tej chwili przywitał się z osłem, i dzięko-
wał mu za to, że go osioł na nogę nadeptał, szeptał
bardzo grzeczniuchno ustępując się:

— *Pardon, mon cousin, vous etes bien bon!*

Osiół odskoczył, zgorszony poufalością nieproszo-
nego krewniaka, pastuch z bicia trzasnął i wszystko
ucichło.

— Gdzie prawda? spytał baron.

— Nie wiem, rzekł Tomko, czekam, słucham, pa-
trzę, szukam — to pewna, że nie w tem cośmy do-
piero słyszeli.

— Jeszcze to nie wszystko — odparł towarzysz po-
dróży. — Kształt i barwa poczną się zaraz klócić
w twojej głowie. Obejrzyj się: w jednych tworach
wygórował kolor i zdaje się cechować życie, zdaje się
być jego wyskokiem, znamieniem; u drugich zoba-
czysz tylko kształty i linje, któreż z nich jedyną
prawdą?

— Nie wiem — powtórzył Tomko. — Chodźmy da-
lej, chodźmy dalej!

V.

Miało się ku wieczorowi, gdy podróżni wstali i po-
ciągnęli dalej w drogę.

Lucyfer von Tenfel zabawiał Tomka wielce zajmującymi powiastkami; młody podróżny zaledwie ich słuchał, miledzał z głową spuszczoną.

Po drodze napotkali żebraka.

— Powiedz no mi mój kochany, dobywając kieski spytał baron, nie wiesz tu gdzie ciepłego kąta, żebyśmy z tym paniczem przenocować mogli?

A nad łaskiem w dali trochę sterczała biała wieżyczka wiejskiego kościółka.

— Gdzież kiedy nie u dobrodzieja? — rzekł kulawy — ciepła chata, smaczna wieczerza i miła gawędka.

— Dokąd to idziesz?

— Dokąd? z uśmiechem djogenesowskim powtórzył żebrak — jakto dokąd? alboż wie który z nas dokąd i po co idzie?

Tomko pilnie się wpatrywał w starca, który mu poczynął dziwnie przypominać Dołęgę, pierwszego jego nauczyciela.

— Mistrzu! zawołał nareszcie, to ty? to ty! I rzucił się ku niemu. Ty! w żebraczym odzieniu?

— Tomko mój! dalipan chłopeze wszak cię nie poznałem — z uniesieniem krzyknął stary — a tyż dokąd wleciesz się z tym szoldrą?

— Za prawdą!

— Oj daleko za katy, już mnie tam moje stare nogi nie doniosą.

— A ty?

— Ja! jak zawsze, idę by iść, bez danego celu, znajduję ich tysiące po drodze. Życie to pielgrzymka: głupi kto ślimakiem chce zostać i zaskorupi się w sobie. Życie to ruch co raz nowszy. Idź mój Tomko,

nie znajdziesz prawdy całej nigdzie, ale skorupki rozbitej, bo z nieba spadając na ziemię w kawałki się boskie naczynie rozpadło. Te bryzgi świecące rozsypane są po naszej drodze.

Tomko nie dosłyszał słów ostatnich, bo go pytał gorąco:

— Dla czego uciekleś od nas?

— Dla czego woda bieży? czemu wiatr wieje? Wszystko co jest, jest i nie jest. Byt łączy się z nicością i zlewa; na co kochać czego wiecznie posiadać nie można? Idę a idę dalej a dalej; aż się gdzieś spotkam ze śmiercią i wiecznym spokojem. Prawda — to nieskończona zmiana, niepochwyciona różnorodność zawsze w sobie jedna. Nie szukaj jej ani na dnie studni, ani na górze w gwiazdach; wisi między niebem a ziemią, jedną nogą tu, drugą tam. Prawda, to może środek ciężkości między materją a duchem?

Ale i tych słów nie dosłyszał Tomko dobrze, bo baron von Teufel śmiał się bardzo głośno, by je zagłuszyć, a nceń zakończenie tylko schwytawszy, odpowiedział pokręcając głowę:

— Nie mój mistrzu, prawda nie może być mieszaniną i jakimś pół-czemś, pół-drugiem; ona jest gdzieś cała, jednolita, wielka, potężna.

— Szczęśliwej drogi, rzekł Dołęga kłaniając się — przenocujcie u księdza Sycyny, widziałem gotujący się rosół! piekącą gęś, spodziewa się gości u siebie, a prócz tego toć to stary znajomy, nie mijaj go i pożegnaj przed podróżą. Bądź zdrów chłopcze, ja idę, aby iść, aby dalej. Ruch, wędrówka, to życie, to prawda. Prawda to nie twoje coś urojonego, co byś chciał pal-

cem namacać, jest w tobie, za tobą, wszędzie, ale wszędzie po troszę.

— A w Bogu cała pełna i jedyna! dorzucił ksiądz Sycyna, który ich zaszedł niepostrzeżony.

Z nim przywitawszy się zawrócili się do plebanji.

VI.

Skromne było probostwo księdza Sycyny.

Nieopodal od kościółka obwiedzonego murem, w którego bramie wznosiła się ocieniona dwoma staremi lipami dzwonnica, za płotami z bżów i wirginji, stał porządnym biały, z gankiem na czterech słupkach domek. Za nim był sad cienisty, spokój do koła niego i czystość wytworna i miła jedyną jego ozdobą.

Co obiecywała powierzchowność, tego dotrzymywało wnętrze: domek był zaciszny, schludny, ciepły i wygodny, jak suknia codzienna. Na kominku palił się ogień z drewek olchowych wolnym niebiesko-różowym płomykiem, bo ksiądz Sycyna lubił ogień komina i w lecie. W pośrodku stół nakryty białym obrusem, otoczony był już krzesłami skórą wybitymi, o okrągłych poręczach i krzywych nogach. Wielki stary fotel widocznie przeznaczony dla księdza Sycyny ze stołeczkiem drewnianym pod nogi, na szarym umieszczony był końcu.

Jakim pokojem tchnęła ta cała plebanja!

Widziałeś po sprzętach, że przywykły z dawna, każde do swojego kąta; po dróżynach wydeptanych na świeżo zmytej podłodze, że każdy krok miał tu oznaczony kierunek, jak każdy przedmiot swoje miej-

sce, jak każda czynność godzinę swoją.

Wszystko było na miejscu.

Tomko usiadł, baron przyczepił się na poręczu jego krzesła, ksiądz pleban nałożywszy mykę na uszy, owiniąwszy się sutanną, zasunąwszy ręce w rękawy, zapytał go łagodnie:

— Moje dziecko, dla czego, powiedz mi chcesz szukać prawdy zewnątrz wiary? czyż cała w niej nie jest?

— Mój ojciec, odparł za Tomka baron von Teufel, wybornie naśladowając głos jego, nie szukamy jej zewnątrz wiary, ale i w niej i wszędzie: — idziemy do niej drogą nową.

— Ale po cóż dobrowolnie nakładać drogi, gdy stara tak prosta i znajoma? rzekł poważnie ksiądz Sycyna.

— Nie było więc jej całkiem przed objawioną wiarą, przerwał Lucyfer, nie było więc prawdy na świecie lat tysiące?

— Hm! rzekł ksiądz kanonik — wszelka wiara jest objawioną, człowiek do niej siłami własnego rozumu nie przyszedł. Rozum ma to do siebie, że co buduje dziś, jutro wywraca, by znowu z gruzów nowe a nie-trwałe wznosić gmachy. Dawne wiary były przygotowaniem do jedynej, do prawdziwie boskiej mojej dziecku, w której mieliśmy się szczęście narodzić. Świat więc nie był bez prawdy; on jej oczekiwał, przeczuwał ją, gotował się na jej przyjęcie. Dziś zaś już zewnątrz wiary nie ma, nie może być prawdy. Czegoż chcesz i pożądać możesz więcej nad to, co ona dać ci może?

— Prawdy całej, wielkiej, jasnej, ogólnej, jedynej, zawołał Tomko, któraby była prawdą dla wszystkich

zarówno, wszędzie i zawsze.

— Tą jest — jeden Bóg tylko! odparł ks. Sycyna spokojnie.

Zamilkli; za chwilę baron poprawując peruki i naśladowując głos Tomka, który milczał zamyślony, do-rzucił:

— Powiedz nam ojcze wielbny, co jest prawdą prawd wedle wiary?

Ksiądz kanonik ruszył ramionami.

— Zaiste, rzekł, osobliwsze pytanie, które tylko wielkiemu głupcowi przebaczonem być może, dziecko moje. Za takiego cię mając tej chwili, lituję się nad dawnym nieczniem, którego mam za *mente captum* i odpowiadam: Prawdą jest Duch.

Duch *jest*; ciało stworzone z niczego technieniem Bożem. technieniem ducha, *zdaje się być*.

Bóg jest czystym duchem, i wszelka prawda jest czysto duchowną. Wszelka materja znikomością jest, fałszem, niczem.

Ciało to szatan, to złość, to niedoskonałość, zgnilizna, robactwo; duch jedyną prawdą. Wszystko co jest wedle ciała ma być przemijający, chwilowy, któren się bytem ledwie nazywać godzi: w duchu prawda, żywot i wszystko, duch jest życiem jedynem.

Ztąd już widzicie może co wypływa dla praktyki życia: ciało winniśmy martwić, upokarzać, męczyć, nękać, uciskać, aby ducha oswobodzić. Włosiennice, posty, dyscypliny, oto sposoby przeciwko ciału — szatanowi. — Odmawiać mu potrzeba wszystkiego. Starzy mawiali *non sine causa*: njmij ciału obroku a dusza będzie syta — pokarm bydłęciu, a duszy słowo przystało.

— Cha! cha! — zawołał Lucyfer — czemuż jego-
mość nie zostaniesz anachoretą, zenobitą, i nie ujmiesz
sobie wygódek? po co się gęś piecze na rożnie, a ro-
sół tłusty warzy w garnuszkę?

Ks. Sycyna westchnął głęboko.

— Duch mocen jest, ale cielsko słabe, rzekł po ci-
chu runieniąc się, powiem wam ze Świętym Pawłem:
Ja tedy sam umysłem służę zakonowi Bożemu, lecz
ciałem zakonowi grzechu. (Paweł do Rzymian. VII. 25.)

Tomko potrząsnął głową i dodał: — Prawdy więc
waszej, którą drugim dajecie, nie bierzecie dla siebie,
nie spełniacie jej ściśle?

Na tę niespodzianą wymówkę, odwrócił się z poli-
towaniem uśmiechnąwszy kanonik.

— Bóg — rzekł — sądzić nas będzie nie wedle słów
ale wedle uczynków naszych; każdy czyni co może i
ile podola.

— Tak, tak! — rzekł przedrzeźniając baron.

W tem wtoczył się ksiądz dziekan oczekiwany na
wieczernę z proboszczem sąsiedniego kościoła. Zaczęto
się witać i o potocznych rzeczach rozmawiać. Tymcza-
sem burza szalona, wściekła zrywała się na dworze.
wiatr trząsał oknami, rzynał staremi okiennicami i mio-
tał drzwiami plebanji. Wkrótce za dziekanem zaję-
chała bryczka wioząca protojereja bliskiego monasteru;
a jakby namyślnie w ćwierć godziny potem przywłókl
się zmokły od deszczu, przestraszony grzmotami, wzy-
wając gościnności pastor protestancki, niewiadomo z kąd
i dokąd dążący konno sam jeden.

Ks. Sycyna z właściwą sobie łagodnością i dobro-
cią przyjmował wszystkich, choć ciasno było w ple-
banji od tych w części nieproszonych gości, i trzeba było

zabić drugą geś i drugą kurę do stołu.

U wieczerzy przy lampeczce miodu starego otwały się nsta wszystkim i z opowiadań w początku obojętnych, łatwo przeszli do dysputy dogmatycznej.

Wszyscy się do niej wmieszali, a baron von Tenfel siedzący za krzesłem Tomka niewieszony na jego poręczu, paplał mieszając pytania i gmatwając odpowiedzi.

.
.
.
.

Nikt nikogo przekonać nie mógł — jeden pocziwy ksiądz Sycyna przez cały czas dysputy milczał, ruszając ramionami i modląc się po cichu.

Przykład jego wzbudził pomiarkowanie we wszystkich, spojrzeli, zawstydzili się i niechęć poczęli.

Nie w smak to poszło Lucyferowi: rozżarzył spór znouu wrzuconem rozpalonem słowem, zawrzała dysputa raz jeszcze. Protestant wynosił rozum ludzki, w którego jedynie wierząc jak w Boga, sędzią go czyniąc wiary, podnosił do Bóstwa ludzkość i ocierał się już o nieuchronny pantheizm. Katolik znouu odrzucał go całkowicie, mieniając narzędziem *rozumienia* nie *rozumowania*. Powstały sprzeczki o lasce, o predestynacji, o pochodzeniu osób w Bogu, nareszcie o samych nawet obrzędach.

Dysputa już groziła przerodzeniem w swar nieprzyzwyczajony, gdy dowcipny protojerej, nie lada człowieczek, figlarz wielki, który zawsze zdawał się żartować, choć ciągle miał łzy w oczach, przerwał:

— Zgoda mości panowie, zgoda! i zdrowie prze-

ciwnych ludzi! Godzim się wszyscy na chrześcijańską moralność, jeżeli nie na znaczenie i wartość uczynków— to dość na dziś, a jutro przyjdzie reszta.

— Więc moralność, to jest czyn, byłby jedyną prawdą? szepnął w ucho baron Tomkowi, uprzedzając jego uwagę. Ba! ale ta moralność każdy inaczej tłumaczy, rozumie i ceni, w miarę jak każdy inaczej to, z czego ona wypływa, określa.

A ściśle zachowaną moralność chrześcijańską gdzie znajdziesz?

Mówimy o poświęceniu które jest zasadą moralności chrześcijańskiej, któż się dziś poświęca? Mówimy o poskromieniu ciała i zaparciu się go, któż się dziś nie pieści? Mówimy o obowiązkach względem bliźniego, a któż dziś nie ma sobie za największy obowiązek z bliźniego korzystać?

Każdy w ustach ma ewangelję dla drugich a w sercu nie chowa jej dla siebie, tak jest, począwszy od największych do najmniejszych.

Gdzież miłość, ta wielka spójnia, ten wielki węzeł braterstwa, któren w katakombach łączył pierwszych prześladowanych? gdzie pobożność, łagodność, przebaczenie, pobożność i prostota duszy?? w słowach tylko, tylko w słowach!!

Tomko dokończywszy tych wyrazów poczętych przez barona westchnął, spuścił głowę i umilkł.

Lucyfer rozśmiał się serdecznie.

— Co to za jeden? spytał trącając łokciami księdza Sycynę, przybyły protojerej.

— Biedny obłąkany chłopiec, który idzie w świat szukać prawdy.

— Cha! cha! rozśmiał się gość dowcipny. — Co za

zjawisko! A to nieoszacowane moralne monstrum, które warto dać pod słój w anatomiczno-psychologicznym gabinecie! — Jest to coś na kształt tego, jakby szedł kto szukać siebie Biedne chłopie! Cóż to się mu stało? jakaś kommocja mózgowa?

— Dziwnym wypadkiem zakreśliło mi się w głowie z czytania czy z myślenia, i szuka jakiejś prawdy absolutnej, którą bardzo wątpię, żeby mógł znaleźć kiedy, nie doszalawszy wprzód zupełnie.

— Na tamtenby go świat wysłać! rzekł protojerej z uśmiechem ławym.

— Do czubków mościłanie, do czubków, dolożył dziekan — a wodą obficie głowę polewać.

Protojerej przysunął krzeselko do Tomka i zapytał go:

— No! a zatem w drogę?

— Tak jest, i w daleką zapewne.

— Dalszą niż Krzysztofa Kolumba i Ferdynanda Korteza. Żaden *Conquistador* płynący ku marzonym złotym grodom nie wybierał się ani dalej, ani awanturniej od pana. *Goddam!* jednego świata będzie ci za mało, należy się weześnie przygotować i z Astolfem ruszyć na księżyc — bez przymówiska.

Tomko się boleśnie uśmiechnął.

— Przygotowany jestem, rzekł, na długą wędrówkę, któż wie jednak, bylbym może z plebanji do domu powrócił, gdybyście się panowie wszyscy byli na jedno zgodzili.

Protojerej szepnął na to:

— Co chcesz kochanku! Przecież w ostatku *en bons confrères* powiedzieliśmy sobie to, co w Moljerze mówią dwaj lekarze. — Ale dajmy pokój temu. Czy nie

zdałyby ci się duszeczko listy rekomendacyjne? spytał wesolo.

— Czemuż nie? Na księżyc? Może mi ztamtąd jaki słoik przynieść każecie? szepnął glosem Tomka baron.

— Złośliwy! pomściłeś się! Jutro siadam i piszę polecając cię dawnym towarzyszom moim, dziś podobno nauczycielom Akademji; boć i do nich zapewne wypadnie zapukać po prawdę!

— Tylko dla tego, żeby nikogo nie minąć! Prosimy o listy, chociaż akademickie prawdy *ex cathedra* nie wiem nawet czy od stryjecznych stryjeczne wielkiej prawdy naszej — i podobno do jej familji nie należą.

— Jutro będą gotowe! Co za pociecha dla nich. Takie odwiedziny nie codzień się zdarzają.

Długo w noc trwała jeszcze ożywiona rozmowa, po czem wszyscy spać się rozeszli. Baron von Teufel zwinął się w kłębuszek misternie i położył na pierśsiach Tomka, który sen miał ciężki i niespokojny. Gęsta peruka Lucyfera nazbyt rozpalala mu piersi...

VII.

Nazajutrz rano pożegnawszy ks. Sycynę i gości, wzięwszy kij w rękę pielgrzymi, Tomko w dalszą ruszył drogę. Baron Teufel wdrapał się na tłumoczek jego, objął cienkimi nóżkami, i bawiąc się jasnymi pukłami włosów młodzieńca, rozwianemi od wiatru, wygodnie tak na barkach jego podróżował dalej.

Do koła kraj był piękny i żyzny, ale w ruinach.

Z każdego pagórka policzyć mogłeś najmniej jeden dom boży, dom pański, dom szlachecki i jedno miasto walące się w gruzy. Suche kościotrupy murów sterczały patrząc próżną okien wydartych żrenicą; tylko siola czarne odwieczne poprzyczepiane do ziemi, przyległe do pól zielonych, żyły jeszcze i oddychały. Po drodze wśród zwalisk i rumów potracali nogą drogie pamiątki już szybko w prochy rozsypującej się przeszłości. Tomko płakał a baron śmiał się, mówiąc:

— Dobrze tak! dobrze tak! ten gruz to nawóz przyszłości!

Na zwaliskach handlarze niecni targowali się z przychodniami bez imienia, odstępując im za lichą cenę, co w nich jeszcze na coś przydatnego znaleźć się mogło. Przekupnie i kupcy pili i grali w karty rzucając losy na ostatki, o których roztarganie nikt się upomnieć nie myślał.

Lecz widok ten trwał krótko.

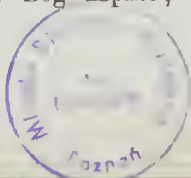
W polu napotkali wieśniaka, który był usiadł pod drzewem spocząć, wyorawszy już połowę swojego zagona.

Tomko, który nikogo pominąć nie chciał, wiedząc, że często niespodziewanie na wielki skarb natrafić można, zbliżył się ku niemu.

— Mój bracie, rzekł, pozwól mi spocząć przy sobie i pogadajmy.

— Z duszy serca paneczku, robiąc natychmiast miejsce, odparł chłopiek. Siadajcie tu sobie pod moją gruszą starszą, jeśli się wam podoba, a gdybyście pozwolili podzieliłbym się z wami chętnie chlebem czarnym i słoniną.

— Dziękuję ci, Bóg zapłać, pozwólcie wy raczej,



abym przełamał z wami mój chleb biały i ser zawiedły.

Z razu trochę zmieszany, nie swój i nienfny chłopek wkrótce swobodniej rozmawiać począł.

Zajeżdżał go z różnych stron Tomko, chcąc się dowiedzieć co od niego o prawdzie; ale go wieśniak nie mógł zrozumieć, chociaż to był nie ciemny pospolity prostaczek od pluga; ale stary niegdyś żołnierz i dworak, nieco nawet piśmienny człowiek, który powrócił do roli z ochoty.

— Prawda! prawda! mrnczał jedząc i kiwając głową. — Ba! panku, chcecie wiele wiedzieć. A któż to może wiedzieć gdzie się ona podziewa? Jeśli przecie dość wam będzie jednej prawdy z tych wielu co po świecie chodzą, to ją wam powiem chętnie.

— Słucham ochoczo — mówcie.

— Ot chcecie wiedzieć, że niema jak my, jak lud, rzekł wieśniak. — Wy panowie jesteście fałszem, narością na naszej skórze, grzybem urosłym z pleśni na barkach ludu. Patrzcie jeno gdzie żywiej biją serca, gdzie raczej wyciągają się dłonie ku pomocy wspólnej, gdzie się ochoczo dzielą odrobiną od ust odjętą; z kąd płyną łzy, z kąd płynie krew, pociecha, jalużna i czyn miasto czeżego waszego słowa — od ubogich i od ludu!

Religia Chrystusowa tu tylko się wypełnia, gdzie indziej, u was, rozmnują o niej ślicznie, ale jej nie słuchają. Panowie, bogaci, obojętni są na wszystko, zestarżeli na duszy, zimni, samolubni i szydercy. Oni nie wierzą w nic, nie nie kochają, niczego nie szanują. Wzbudzić w nich zapal, iskrę szlachetnego poświęcenia z nich wykrzesać — niepodobna! Życie jest w nas, w nas prawda!

Tomko poruszony głęboko tą mową niezwykłą w ustach wieśniaka, ścisnął jego rękę, a on mówił dalej.

— Przyszłe losy ludzkości nie spoczywają na martwych pniach, na sprchniałych kłodach, na tych, których zowiecie panami, a oni nawet panami samych siebie być nie umieją. Co z nich wydobyć? Jak z pruchna ogień wykrzesać? Świeci się to po nocy, ale świeci może dla tego właśnie, że gnieje — jak pruchno. Młodość, zapal, nasienie czynu w nas, w nas są tylko.

Baron von Teufel wiszący na gałęzi nad głową Tomka zaczął się śmiać do rozpuku, śmiać się tak szalenie, że spadł na ziemię z drzewa i przewracając się po murawie, trzymał się z całych sił za boki, żeby mu nie popękały.

— Czego ty się śmiejesz? spytał go Tomko.

— Ba! zobaczysz! Oto właśnie idzie drogą jeden z moich dobrych starych znajomych, hrabia Krzywulec. Idźmy ku niemu na przełaj i rozmówmy się z nim. Nie wiem, jak ci się potem wyda mowa wieśniaka!

To mówiąc, pociągnął za rękę Tomka, szarpnął go i zmusił iść za sobą pospiesznie, tak że wkrótce napędzili hrabiego na gościńcu.

VIII.

Baron von Teufel, znać dobrze hrabiemu znajomy, podawszy mu rękę i przywitawszy go zaczął coś szybko szeptać mu w ucho, śmiejąc się co słowo prawie. Potem przedstawił Tomka jako przyjaciela, szlachcica z antenatów i dodał:

— Hrabio! mieliśmy właśnie utarczkę z tym panem. Rozwiązać ją może twoja cndna teoria arystokracji. Uczyń to dla mnie i chciej ją na pożytek nasz duchowny w krótkości rozwinąć.

— Czas piękny po wczorajszej burzy, odparł hrabia od niechcenia spoglądając na Tomka, konie moje pójdą powoli pod górę, a ja żadaną teorię opowiem wam, moi kochani, w kilkunastu słowach.

To mówiąc poprawił rogatę czapeczki, jeszcze raz badawcze rzucił spojrzenie na Tomka i tak począł:

— Arystokracyczny element jest wszędzie, arystokracja znajduje się w naturze samej z jakiegokolwiek na nią strony spojrzeć zechcecie; ona jest w każdej klasie stworzeń wyborem, kwiatem, ideałem rodzaju. Znajdziesz arystokrację w zwierzętach, ptakach, roślinach. Krowy tyrolskie i gwoźdźniki kapucyńskie są arystokracją wśród innych krów i gwoźdźników. Pszenica sandomierska jest arystokracją przy ukraińskiej i bessarabskiej.

Zasadą arystokracji jest ta niezaprzeczona prawda, że nie wszystkie indywidua jednego rodzaju mogą być i są w istocie równe sobie. Nierówność suponuje wyższość jednych, niższość drugich. Ta wyższość, ta arystokracja w rodzaju. (pojmujecie łatwo) jest jedyną prawdą, jedynym urzeczywistnieniem ideału bożego, reszta pozostaje tylko niejako nieszczęśliwą próbą, która się nie ndała. Natura nie zawsze szczęśliwa, lępi takich sto garnuszków dzinrawych, nim się jej nda jedna piękna doniczka. Człowiek ideał, człowiek *per excellentiam*, człowiek jak go Bóg mieć chciał, jest pomiędzy nami tylko. My jesteśmy tyrolską krową wśród pospolitego bydła. Zresztą gdzie uczucia wyższe, szlachetniejsze, podnioślejsze. jak u nas? Gdzie pojęcia piękna, potęgi

siły, szlachetności; pojęcia drugiego świata będące przeczcuciem — jeżeli nie u nas?

Barwy kwiatów wyrastających na jednej łodydze są nierówne.

— Dotąd mówisz hrabio tylko o arystokracji indywidualnej, ślepy by jej chyba nie zobaczył.

— I nie widzę potrzeby dodawać, że ogrodnik roztropny z piękniejszych kwiatów zbiera tylko nasienie, opuszczając później, lub nikło rozwinięte nawet jednej latorośli (oto zasada prawa pierworodztwa); nie widzę potrzeby dowodzić, że egzystują rasy, że jest krwi i cnót dziedzictwo. Wyższość umysłowa gdzież jeżeli nie u nas? Wszystko co lepsze, większe, wznioślejsze, od nas wyszło i do nas idzie.

Co było — to arystokracja wspomnień, rodu; co jest — to arystokracja żywa, dobijająca się; co będzie — to arystokracja przyszłości, to jej nasienie. W tej klasie jest jedynie prawda społeczeństwa, jest człowiek ideal.

Uczucie piękna, to uczucie — przeczcucie niebios, ta tęsknota do doskonałości, która szuka wdzięku formy aby jej przypominała piękność wieczną ojczyzny nieśmiertelnej — gdzie je spotkasz wyrobione do tyła co u nas? Piękne formy żywota towarzyskiego, owe konwencje na które sobie krzyczycie, nie są li to ofiary dla uczucia przyzwoitości, dla ideału społecznych stosunków? Myśmy ofiarnikami piękna szlachetności, godności, reprezentantami żywota idealnego na ziemi. Wszystko aż do naszego wykwintnego stroju jest tęskną pogonią za niepochwyconym ideałem. Dla czegoż cokolwiek się z tłumu wyniesie dąży do nas, bodaj od pluga i roli wstał wyższy głową od braci człowieczek,

czemuż ciągle żeglują ku nam? Bo u nas czuje wyższość, żywot, prawdę. — Arystokracja ma wrodzone monopoljum myśli szlachetnych, czei piękna i —

Hrabia mówił, a baron szeptał w ucho Tomkowi. — Uważ jak on przypomina woln, który sie chciał od mąstodouta wywodzić.

Tomko z politowaniem poglądał na hrabiego a ten ciągnął dalej zapalając się własnem dowodzeniem, tak mówił:

— Dzisiejszy wiek przeczy wszelkiej arystokracji, ale to najwyższe głupstwo ubrane w szaty pozornej sprawiedliwości. — Gdzie światło? gdzie siły ducha? gdzie wszystko dobre? jeśli nie u nas. Nam wybranym rodzaju ludzkiego, nie powinienie służyć cały rodzaj ludzki, nie jesteśmy ogniskiem wszystkiego, celem ostatecznym stworzenia, koroną świata? Krzyczycie na ofiary z ludu czynione! zawsze Bogowie ofiar krwawych wymagali, bo się im one należą, świadcze się de Maistr'em. Masy! masy! wolacie, cóż to masy? Tłuszcza bez myśli, gmin bezmózgi, szują jednem słowem — wybranymi my jesteśmy! Obrońcy praw ludu są obrońcami ciemnoty, materializmu; niwelujący ludzkość są nieprzyjaciółmi geniuszu i wszelkiej wyższości; a że ona reprezentuje Boga na ziemi, są więc *ipso facto* nieprzyjaciółmi samego Boga.

Gdy tak idąc ścieżką słuchają, a hrabia to poprawiając czapki, to ręką żywo gestykułując głośno rozprawa, zjawił się w pośród nich Dolega, jak wezoraj po żebraczu ubrany, a pokłoniwszy się skinieniem głowy Tomkowi i baronowi, zagadł bez ceremonji hrabiego.

— Hrabio, rzekł, słówko — zkąd arystokracja pochodzi?

— Ha! mówilem wam przecie z wyższości indywiduów, która niepojętemi dla nas drogi przelewa się na potomków w ród i ze krwią płynie.

— Z wyższości! ha! to prawda! rzekł Dolega, ale z jakiej?

— Wszelkiej, jaka tylko być może. W pierwszych wiekach, jak wiecie, urodziła się arystokracja z siły pięści, najsilniejszy stał się najmożniejszym, a najmniejszego potomkowie, nasieniem panów.

— O! do diabła hrabio! zakrzyczał Lucyfer, zjechałeś z drogi i zawadzisz o pień. Jest w piśmie świętem wiele znacząca powieść o Samsonie, pewnieś jej nigdy nie czytał.

— I owszem.

— Samson miał siłę potężną, ale że mu podobno oleju w głowie brakło, że się dał podwice za nos wodzić, że nie miał siły ducha, wyższości jego i niepodległości, musiał młyny obracać Filistynom, i siła wielka nie na wiele mu się przydała. Brednie to są, co wasza miłość mówicie o sile pięści. Jedyłą siłą jest siła rozumu, siła ducha i wyższość umysłowa. Od niej to pochodzi wszelka arystokracja.

— Ha! ha! rozśmiał się hrabia — taką rzeczą Platon i Arystoteles powinni byli....

— Nie przerywaj pan! dorzucił Dolega, oni są w istocie arystokracją całej ludzkości, całych wieków. Wasza arystokracja rodu gniła i nikczemna! Wyższość umysłu, siła ducha, powinna być znamię arystokracji, bez niej nie ma tylko nadużycie i przesąd. Gdzie tylko panowie stracili wyższość tę, gdzie przestali spełniać misję daną im przez Opatrzność prowadzenia niższych od siebie do umysłowej, duchowej wyż-

szości, tam jak u nas domy ich pustką, herby gniazdami wróbbi, ród pośmiewiskiem, a groby oplwane.

— Za pozwoleniem, rzekł hrabia — prostując się, arystokracja jest trojaka: pieniężna, rodowa i umysłowa.

— Stara i oklepana brednia! panie hrabio. Do zrobienia pieniędzy potrzeba najprzód głowy: kto nie ma głowy, choćby go rodził Montmorency, nie będzie znaczył na świecie, a z głową, z duchem, z wyższością umysłową, pierwszy chłop lepszy od ciebie mości hrabio.

— Ale dajcież mi pokój! nie mam czasu! zawołał Krzywulec — dajcie mi pokój! Durzycie mi głowę niepotrzebną rozprawą — jadę właśnie i spieszyć muszę na radę familijną do księcia S. — dajcie mi pokój.

— Tylko słówko jeszcze, zatrzymał Dołęga — myślicie więc hrabio, że arystokracja samą siłą wspomnień żyć może?

— Bez wątpienia! Jej wyższości znamieniom są małe rączki i drobne nóżki; dopóki te trwają...

— Z małemi rączkami i drobnemi nóżkami pójdziecie gdzie się wam ani jedno, ani drugie na nie nie przyda. Chcecie żyć? — stańcie na miejscu, to jest na przedzie! Pracować wam potrzeba, poznać błędy swoje, oziębłość, zastęgnięcie, rozwiązłość, płochosć, dumę, uderzyć się w piersi i powrócić z pokorą do dawnej misji: wieść braci do udoskonalenia moralnego, przykładem, czynem, ofiarą. — To da wam nowe życie. Dziś żyjecie tylko sobą i dla siebie, odcieci od reszty społeczeństwa, trupem jesteście i zgnijecie.

— Pierwsza szlachta, odparł hrabia spluwając i spiesząc do swego powozu, pierwsza szlachta tego-

czesna powstała i urosła w wojnach krzyżowych, temu nie zaprzeczycie?

Choć wedle mnie idea szlachectwa stara jest jak świat, ale historycznie z dzisiejszego stanowiska?

— Niech i tak będzie.

— Gdzież w krzyżowych wojnach, w wojnach jakichkolwiek, które zrodziły szlachtę, jest spełnienie owej misji — prowadzenie niższych ku udoskonaleniu, ku wyższości?

— Hrabia tego nie widzisz?

— Nie, mości panie, wyznaję.

— Oto najprzód przykład Krzyżowca uczył wielkości i świętości obowiązków: widzieli go ludzie poświęcającego siebie, życie, mienie dla idei jednej, dla wiary! To pierwsza; powtóre Rycerz brał za giermka, za pacholę, za sługę często od pluga i roli człowieka, którego wiódł w świat z sobą, uczył go uczuć rycerskich. uczył go pogardy śmierci, honoru rycerskiego, poświęcenia, za wiarę, za słabych, za coś niematerjalnego, a nad wszelkie dobro ziemskie ważniejszego, słowem uczył go *poświęcenia*. Ten wojak, okulały może lub oślepli, powracał do domowej zagrody; a co wniósł wspomnień pod strzechę, to było jego nabytkiem, niemi on oświećlał rodzinę swoją. Co wlał we wnuki swoje, to o szczebel, chociażby pragnieniem tylko, podnosiło ich wyżej.

Potomkowie naszej szlachty czego uczą tych ubogich, których do siebie biorą i płaszczem łaski okrywają? Najgorsi uczą ich kart, rozpusty, próżniactwa i szyderstwa, dumy i zarozumienia; najlepsi — uczą robić cukier burakowy!! Wątpię hrabio, żeby nawet książę, który tyln szlachty nżywa do swych ogromnych fa-

bryk, spełniał swoją misję jak należy. Cukier jest rzeczą doskonałą, ale nie prowadzi do niczego więcej krom pieniędzy.

— Tandem, bądźcie waszmość zdrowi, nie mam czasu, rzekł pogardliwie hrabia, kończę faktem: rozumowania wszystkie zbić można i rozumowaniami siakiemi takiemi co chęć pobudować, ale fakt jest to mur żelazny. Po kiego djabła ciśnicie się wszyscy do nas i czapkujeć arystokracji, kiedy ona tak zgnila i strupieszala? dla czego tak ona was żywo obchodzi? Ha? a diem! a dieu! paunowie czerwoni!

Rzuciwszy tę racę kongrewską na obóz nieprzyjacielski, hrabia skoczył do powozu. — Żebrak szydersko nań spojrzawszy usiadł na drodze z westchnieniem, a Tomko zastanowił się w niepewności co miał z sobą począć. Tymczasem baron otrzepując żaboty z tabaki, którą właśnie obficie nos poczęstował, począł mu szeptać:

— A co kochanku?

— Jestem jak w lesie, im dalej, tem mniej rozumiem gdzie prawda, i co nią jest wyłączenie.

— A zatem?

— Idę dalej.

— I ja z tobą serce moje. Ciekawy jestem djabelnie na czem się to skończy, a przytem zajmuje mnie silnie twoja uaiwność i poświęcenie. — Pójdziemy więc dalej.

— Żal mi tylko porzucac Dołęgę.

— Ba! starca! Starość to już nie życie prawdziwe, to zachód słońca skrzepty i zimny, szanujemy ją, ale zbyt jej nie wynośmy. W młodości to, w tobie jest prawda żywota: młodość to nadzieja, pragnienie, czyn,

starość żyje tylko lupinami i odrobinami. To konanie dogorywającej lampy.

— O mądry doktorze niemiecki, rzekł rozwalając się na trawie Diogones - Dołęga — ktoś to ci powiedział? Młodość to życie ciała, starość to życie duszy. Ustały burze cielesne, zcichły namiętności, spi mięso a podniosła się dusza, a żyje doświadczenie, a świta mądrość. Kajdany spruchniały i rozleciały się — swoboda umysłu zdobyta. Starość to dopiero żywot prawdziwy....

— No ! i gadajcież ! tak słicznie zdaje się wyrozumowałem ! zawołał śmiejąc się Lncyfer... a ten w proch swoją robotę obrócił.

Tomko spoglądał na obu, brał za kij i wybierał się iść.

— Idź, idź ! rzekł do niego Dołęga, nie obawiaj się, ja cię dopędzę jeszcze. Dokąd młody dobieży pędząc zdyszany, stary przywlecze się powoli nieznudzony, silny, wytrwalszy: młody nie wie dokąd idzie, stary upatrzył cel, dąży ku niemu, oszczędzi drogi i stanie wprzód od niego. Ruszajcie sobie, ruszajcie !

Baron na pożegnanie chciał poczęstować rapą Dołęgę, ale stary żebrak pokazał mu figę. Niemczyk uklonił się grzecznie, schował tabakierkę i poskoczył Tomka dopędzać.

IX.

Byli jeszcze nie opodał od domu.

Jakieś tęskne uczucie odwracało Tomka ku niemu, ale inne silniejsze parło go wprzód w nieznaną mu świat.

— Przecież, mówił w głębi duszy, dowiem się kiedyś, co jest prawdą. Tyle sprzeczności, tyle co krok spotykam prawd najróżniejszych, które jedna drugą spychają, zbijają, unieważniają, że wreszcie gdzieś muszę wynaleźć prawdę jedyną, absolutną, wielką jak świat, co będzie wszystkich sprzeczności kluczem, wszystkie je zgniecie i rozbije a na gruzach uśędzie na tronie jasności i chwały wiekiustym, nieporuszonym!

— Tak jest, szepnął Lneyfer, chodź tylko braciszku, chodź dalej, zobaczysz że taki musimy odkryć tę Amerykę marzeń naszych. Jużemy się i tak bardzo wiele w krótkiej naszej nauczyli podróży, to jest: że nic jeszcze nie umiemy.

Gdy to mówili, nadszedł wiaterek który po drodze piaskiem kręcił, a baron poskoczył ku niemu wywijając obertasa; Tomko tymczasem, któren czuł coraz silniej jak ciężko mu było znajome opuszczać miejsca, ogłądał się, ociagał i zastanawiał.

Serce mu wyraźnie mówiło tęsknoty pełnym głosem: — Po co iść dalej? wnijdź w siebie i spojrzysz w niebo!

W tem:

— Dzień dobry! ozwał się głos srebrozysty.

Był to głos dobrej a pięknej Małgosi, a Małgosia była córką sąsiada państwa Prawdziców starego Ossorji i towarzyszką lat Tomka dziecińczych.

Świeża jak różany pączek (choć to bardzo stare i nieświeże porównanie) wesolutka jak wróbelek, woniejąca młodością, jaśniejąca sercem, dziewczynka uśmiechała się białymi ząbkami do lubego jej Tomka. Wracła właśnie z odpustu na Zielną, obchodzonego w po-

bliskim kościółku, gdy ją Tomko napotkał. Z podziwieniem podniósł na nią oczy, bo się jej zobaczyć nie spodziewał, bo się z nią pożegnać — zapomniał.

— Dokąd-że to Tomku? — spytała śmiejąc się jeszcze.

O! już po odpuscie w Gruszycy, spóźniliście się po swojemu, o dniu zapomniawszy.

— Ja bo nie idę na odpust — odparł Tomko zafrowsany.

— No, a dokądże?

— Na naukę!

— Jakto na naukę? — zawołało dziewczę poklaskując w dłonie. — Terminować! Ty! ty szlacheckie dziecię! a toż co! Boże miły! cóż to jest? Na naukę! A czegoż to myślicie się uczyć na szerokim świecie?

— Nie terminować, ale uczyć się idę — Małgosiu.

— Słyszę, ale czegoż?

— Prawdy! — rzekł Tomko cicho, smutnie i jakby zawstydzony.

— Mój Boże! a w domuż nie możnaż się jej było nauczyć z Ewangeliczki i Ołtarzyka?

To mówiąc Małgosia usiadła na trawie i spoglądając w oczy Prawdźcowi, tęskno pytała go dalej, łzy kryjąc ręką i chustką.

— Kochany Tomku, a nie żal-że wam odchodząc nikogo? niczego? — Spojrzała na niego ukradkiem, chłopiec spuścił oczy, zarumienił się i odpowiedział:

— Cóż żal nada? żal mi was wszystkich a pójdę dla tego.

— O! to wam nie żal nas, to nas nie kochacie?

— Ale powrócę.

— Tak! starym na sercu, zimnym i zmęczonym. O szkoda mi ciebie, szkoda! — I spojrziała nań znówu, aż oczy ich się zbiegły w wejrzeniu.

Zdawało się dziewczynie, że przeszyla go wzrokiem do głębi duszy i zbliżyła się pewniejsza zwycięstwa.

— Zostaniesz z nami, rzekła — nieprawdaż? I drżącą ręką chwyciła dłoń jego zimną. — Pamiętasz nasze wieczory na ławce przed domem, szum jodeł naszego ogródka, lipy naszej pasieki, gołębie ulubione, cośmy je karmili we dwoje, piosuki naszego dzieciństwa tak rozkosznie smutne i tę obrączkę z włosów, którąś się ze mną zaręczył?

— Pamiętam! pamiętam! i powrócę Małgosiu — i znówu szumieć nam będą jodły nasze, kwitnąć lipy stare, gruchać gołębie i śpiewać będziemy piosuki dzieciństwa i zamienim wieczne obrączki.

— Ale ja nie chcę żebyś odchodził! dodała żywo dziewczyna — ja nie chcę, nie chcę! Tęskno mi będzie po tobie i płakać będę samotna i zapłaczę się wygładaniem. A! powiedz mi, powiedz jest-że szczęście wyższe nad to, które daje życie spokojne i sumienie czyste, szczęście któremyśmy jak złotem jabłkiem bawili się w dzieciństwie, jest-że życie nad życie we dwojgu i w kątku?

Tomko milczał uparcie, łza mu się kręciła po powiecie, z serca się dobywając, lecz razem myśl samolubna do ust sypała mu słowa:

— Małgosiu — ja chcę szczęścia takiego, ja po nie powrócę, ale chcę prawdy!

Ona spojrziała, opuściła ręce, potrząsła głową z politowaniem i zapłakała...

— Biedny Tomko! — odezwiała się — tyś chyba chory! Co to tobie? tyś chory pewnie! Iść w świat, a za sobą zostawiać serc dwoje, i więcej może, co cię tak wiernie, tak jedynie kochają... Myślicieź że co potrafi nagrodzić skarb taki? — Słyszałam raz w ewangelji, którą czytał organista w wielkim tygodniu, że jakiś pogański czy żydowski książę pytał się Chrystusa: — Co jest prawda? Lecz od czasu jak nam pan Bóg na świat przyszedł i umarł za nas, czyż jeszcze powtarzać można to pytanie? O! tyś chyba chory, tyś obłąkany! Prawda! a! to młodość zielona, pełna wiary, nadziei, miłości Boga i ludzi — prawda to nasze wiejskie życie, prawda to żywot spokojny w kwiecistych sadach, na złotych łąkach naszych! Myślicieź, że co lepszego znajdziecie gdzieś nad prawdę miłości, wiary i nadziei?

— Nie wiem, rzekł Tomko wzruszony, ale niespokój, żądza jakaś niepojęta mnie pędzi.

— Zły to niepokój, zła to żądza — ciekawość wie-dzie do piekła, odparło dziewczę. — Wierzyć i kochać czyż nie dość?

— A! dla mnie biednego nie dosyć!

— Biedny Tomku. — Dalekoż tak iść myślicie nie-wiedząc po co i czemu?

— Gdzie oczy poniosą, dopóki nie dowiem się prawdy.

Małgosia zafrasowana chwyciła się za głowę.

— Pożegnajmyż się, rzekła cicho, bo Bóg tylko wie kiedy i z czem powrócicie. — O! żał mi ciebie, żał mi ciebie serdecznie.

— Żał ci?

— O! srogi żał, za tobą, za rodzicami twemi — żał

mi i siebie, bom cię kochała, jak siostra nie będzie rodzona.

Nie lepiejże było w cichości co Bóg dał używać, kochać i w niebo patrzeć. — Jestli to fałsz i zmyślenie?

— A! ty mnie nie rozumiesz Małgosiu!

— Może. — Głową, nie, a sercem jeśli nie pojąć czemużbym się domyśleć nie mogła?

— Co mówisz jestto szczęście tylko — odparł Tomko, ale nie prawda. Czemuż są szczęścia inne, czemu jest ich tyle? Więc to, które posiadamy nie jest wyłącznie prawdziwe?

— Juściż to nie jest niebo — odparła dziewczyna — tam tylko jedno będzie szczęście dla wszystkich.

— Tam! tam! czemuż zrozumieć nie można tego co nas otacza?

— Zachcieliście, toć próba tylko! toć żywot znoju i pokuty, a gdy przy nich zaświta nam słoneczko na chwilę, wiatr nas orzeźwi, czyż nie dosyć?

— Bądź zdrowa Małgosiu!

— Idziesz więc?

— Muszę.

— A! bywajże zdrów. Wróciwszy pójdę do rodziców waszych i będę się starała ich pocieszyć w samotności, w opuszczeniu. Nie masz serca że nas tak porzucasz! o nie masz ty serca.

Tomko stał nieporuszony.

— Niech ci Bóg przebaczy, rzekła ze łzami dziewczyna — my za ciebie modlić się będziemy; daj Boże byś powróciwszy nie był już niezdolny do naszego szczęścia i nie pogardzał nami, żeby ci duszno, tęskno, smutno ze staremi przyjaciółmi nie było.

Jeszcze mówiła i płakała, gdy Tomka pochwycił baron Lucyfer pod rękę i świszcząc obertasa pociągnął go gwałtownie za sobą; ręką tylko pożegnał Małgosię, która stała ze łzą w oku i z przestraczem w sercu.

X.

Tomko tedy podróżował dalej a dalej, zawsze w towarzystwie barona, który uprzyjemniał wędrówkę arcy-nauczającą rozmową o cudach Bożego świata, bo go z końca w koniec przeszedł i znał doskonale.

Nieszczęściem, czego ta rozmowa najwięcej Tomka uczyła, to coraz mocniej wątpić o wszystkim; wstrząsała nim, rzucając go z jednej w drugą ostateczność. Obrazy świata zrecznie stawione przeciw sobie, pełne były niezliczonych sprzeczności. — Co w nich było głównem? co ubocznem? co prawdą? co fałszem i przyrostkiem? Tomko rozróżnić nie mógł.

Baron zażywając tabakę, udawał dudka wyśmienicie i powtarzał: — Niepojęte! niepojęte! — Tak szli aż do miasta. które owego czasu sławne było ze swej Akademji i nauczycieli, gdzie się wiele uczyło młodzi, z kąd jak z ogniska tryskała światłość na okół kraju.

Postrzegłszy miasto Tomko, ze ściśnionem sercem, z jakąś nieopisaną tęsknotą pomyślał dla pocieszenia się:

— Tu przecież znajdę czego szukam, ci mędrcy powiedzą mi, co jest prawda? Jeżeli nie wszyscy o niej wiedzą, choć jeden przynajmniej doszedł może co ona?

I wrąc z niespokojności wszedł do miasta.

Zaraz u wnijsia to życie miejskie, porównane w duszy z życiem wioski, wyzwało w nim nowe z wątpliwością pytanie:

— Który z tych dwojga żywotów jest prawdą?

Ówli żywot wsi spokojny gdzie wszystko w swojej godzinie przychodzi, życie płynie niepostrzeżone, powolnie, cicho, jednostajnie i błogo; czy miasta wrzący, namiętny, szybki i nowemi wrażeniami, nowemi coraz wypadkami osnuty? — Jeżeli prawdą życie wiejskie całe w obliczu natury upływające, czy to całe wobec samych dzieł człowieka, w którym Bóg znika, a stworzenie króluje?

Nim sobie Tomko to pytanie rozwiązał, już go wir miasta pochłonał. Patrzał, żył oczyma, żył uszami, żył gorącym i szybkim życiem ludzi miejskich. co go otoczyli, objęli i porwali.

Baron zajął się zaraz wyszukaniem mieszkania; był w wyborowym humorze i pluskał się w tem wrzasku miejskim jak ryba w wodzie.

. — Nie życież to? wolal podskakując na półtora łokcia w górę, — patrzaj młokosie serca mego, co to za wrzawa, co to za pospiech. He tu różnych ludzi i twarzy! Tam pogrzeb, tu chrzciny i zaraz wesele i obok kłótnia małżeńska, łzy i śmiech wszystko ściśnięte, zmieszane, utarte! Jeden na drugiego nie patrzy, mijają się, lecą, pędzą, godziny biją jedna po drugiej jak szalone, życie płynie. Ani burzy ani pogody niebios nie widać w tych kamienicach, nie ma tu chwil nudy i rozmyślań. — Porównajże to proszę ze wsią, gdzie wśród głuchej pustych dui ciszy, klekot bociana i wieczorny krzyk gęsi budzi cię tylko; gdzie każda chmur-

ka przesuwająca się po nad głowami zwraca oczy; gdzie każda drobnostka wypadkiem, a tak szeroko się ziewa!

— To więc życie prawdziwe, jedyne? spytał Tomko, takiem chciał mieć je Bóg?

— Albo to, albo i nie to, z uśmiechem odparł baron. właśnie okrutnie się biedzę, które z nich jest prawdą, ale mnie lepiej miejskie smakuje, a za tem nie tęsknię wcale.

— Czemuż ja już dziś tęsknię za niem?

— Ba! więziń tęskni za ciemnicą i łańcuchem z którymi się zbratał. Wielką tajemnicą nałóg. — Miałaby człowiek gdzieś kiedyś do tak jednostajnego życia być przeznaczony, którego nałóg byłby w nas przeciwnością i zapowiedzią?

— He? — a tymczasem spij moje dziecko; jutro zaraz pójdziemy pukać od drzwi do drzwi mędrców tu-tejszych i pytać ich słowy Pilata:

— Co jest prawda?

XI.

— Od kogo zaczniemy? spytał nazajutrz baron niepokojnego Tomka.

— Od pierwszego z brzegu, odparł młody chłopiec, wszakże wszystkich obchodzić mamy.

— I tak dobrze, zgoda! a że lubię od razu zbyć się rzeczy najcieńszej, a do nauczyciela astronomji wysoko po wschodach drapać się potrzeba, zbędźmy dziś te nieszczęsne wschody.

Poszli i po stromych w istocie a nie bardzo wygo-

dnych wschodach wdrapali się na wieżyczkę, która czoło swe szklane wznosiła nad dachy przyległe. Z niej tylko szerokie niebios pola, kominy czarne i latające wrony widać było. Chłód przejmował w tej izdebce otwartej na cztery wiatry, zastawionej nieznanymi narzędziami, podobnemi do jakichś przygotowań męczeńskich, ostre-
mi, błyszczącemi, straszniemi. Ogromny teleskop jak działo wymierzone ku niebu sterczał w pośrodku, a chronometr powolnym ruchem mierzył mu ulatujące godziny. Na podłodze walały się księgi zapisane liczbami i pootwierane szeroko, rozpląsnięte, rozbite, zmęczone i ledwie dyszące.

Wśród tych ksiąg i narzędzi człowieczek łysy, zamysłony chodził, skakał, szeptał, licząc coś kredą na tablicy i nie wiedząc co się koło niego działo. Tak był zajęty niebem i swoją rachubą, że nie czuł przykrego chłodu dnia tego; nbrany dość lekko dla rozgrzania tylko machinalnie zacierając ręce.

— A czego to wasan chcesz? spytał usłyszawszy otwierające się drzwi.

Baron wyskoczył naprzód.

— Proszę pana profesora, rzekł szybko, mam honor rekomendować tego oto młodego człowieka: jest to człowiek prawdy, który dowiedziawszy się że ona na gwiazdach mieszka, pragnie żebyś mu ją pan profesor pokazać raczył i tej znakomitej pani go zaprezentował.

— No! warjat czy co! czas drogi! czego chcecie?

Tomko począł poważniej; profesor spojrzal mu w oczy i zaciąwszy usta: Prawda! rzekł — prawda — rachunek! Niema prawdy jeno w rachunku, jak niema szczęścia tylko w kontemplacji niebios — nauka wielka i piękna! — Chcesz się więc WPan uczyć astronomji?

— Tak jest, jeżeli ona prowadzi do poznania prawdy!

— Juściż do jakiejś jej strony, do jednej jej części.

Ale znasz-że co potrzeba do tego, nanki przygotować?

— Cokolwiek.

— Cokolwiek, mało. Masz-że ten zapal do gwiazd i nieba miłość, to zamięłowanie eterycznych przesłrzeni, które sercem miota i jest przeczcuciem naszego powołania?

— O! ilekroć myśl podnoszę, podnoszę i oczy, rzekł Tomko, a zamyślony patrę w niebo i napatrzyć go się nie mogę.

— To dobrze, rzekł nauczyciel — ziemia tylko tyle warta o ile służy do oparcia teleskopu: a i tak nawet jest arcyniedokładną podstawą. — Choruje na magnetyczne wstrząśnienia, nie trzyma się swej drogi uczciwie, chwieje się czasem jak pijana kucharka i nie pilnuje przepisanych przez nas prawidel. Jeszcze to też dziecko, wybaczyc jej potrzeba; nstatkuje się później, zwyczajnie młodość! niech no ostygnie, a dojrzeje!

— Tu więc wszystko w tej nauce, przerwał Tomko, jest stałe, niezienne, prawdziwe! tu więc jest prawda! A! doszedłem źródła, zawołał radośnie całując ręce profesora.

— Stałe, niezienne! oj! podobno nie, kochanku, odparł nauczyciel, skrobiąc się w lysinę. Tak prawdę powiedziawszy, u nas astronomów od lat tysięcy co godzina to nowina: prawda prawdę wypycha; rachunki nasze co lat kilka odnawiamy, poprawiać musimy, tablice nowemi obserwacjami powiększamy — i — idziemy powoli ku prawdzie.

— Ale przecie od czasów Kopernika i Galileusza.

— Stare rzeczy! Kopernik i Galileusz są w niebiosach czem Kolumb i Wespucjusz w znajomości Nowego Świata. Posłuchaj moje dziecię:

— Astronomia do szkoły Aleksandryjskiej była jak medycyna starych bab, złożona z samych empirycznych i przypadkowych nabytków, z plewy i ziarna, w epoce Arabów, Ptolemeusza i dalej jeszcze, ileż to błąków nastrzelaliśmy, nie licząc najpotężniejszego, iż sobie ludzie upatrzili w gwiazdach horoskopy i pobrali je w dożywotne władanie, jak gdyby światy boże z drobnymi pyłami jak my mogły być w jakim związku bezpośrednim. Od Kopernika do naszych czasów, ileż zmian jeszcze. Jesteśmy na drodze, ale tylko na drodze — a cel — o! jeszcze daleko!

— Jakto? więc i ta nauka nie może powiedzieć: jestem u progu prawdy, chwyciłem ją.

— Nie, ale powiedzieć może: jestem na drodze do niej, wiemy wiele, a domyślamy się więcej jeszcze.

Tu fiziognomja nauczyciela zajaśniała i rozpromieniła się, oblicze jego okrywało się blaskiem, zdawał się natchniony, a baron kichnął napróżno by go wywieść z tego stanu; obrócił oczy ku niemu i tak mówić począł:

— W pośród systemu planetarnego jako ognisko najdoskonalsze, złożone z materji w stanie światła będącej, rozrzedzonej... stoi słońce! Kształt jego jest najdoskonalszym ze znanych nam kształtów, kulisty prawie! Ale i tu prawie wlaźło, i tu nie doskonałość! Materja słońca nie jest ogniem i płomieniem jak wnosili niektórzy, ale światłem. Światło to nie jest skutkiem ognia jak w fenomenie płomienia materji ziemskiej; jest tylko wynikłością najdoskonalszego stanu materji.

Bo masz waćpan wiedzieć, że światło jest materja w najwyższej potędze, materja na krawędzi ducha. Siłę swą słońce ma w sobie, dla tego nie krążąc około innego ogniska (dotąd go przynajmniej nie przypuszczaliśmy) obraca się około siebie, w sobie, w przeciągu dwudziestu pięciu dni i pół wedle naszej rachuby. Słońce ze wszystkich istot znanych, najlepsze nam daje wyobrażenie czegoś najwyższego, najdoskonalszego. Nie dziw że je ludzie czcili: jego kształt doskonały, jasność, obrót niezależny, wszystko je czyni panem. — Kształt ten sferyczny równie można uważać za skutek i przyczynę biegu około swej osi.

— Panie profesorze, przerwał Lucyfer, tu dosyć chłodno, a to się zanosi na prelekcję.

— Komu chłodno niech idzie do djabła, zawołał zniecierpliwiony nauczyciel i z zapalem począł tworzyć dalej a Tomko uważnie go słuchał.

— W słońcu nie tylko jest ognisko jego własne, ale ognisko całego także systemu planetarnego; wszystko krąży około niego, pociągane ku niemu; bo prawem jest potężniejszem od Newtonskiego, że doskonalsze panuje i przodkuje mniej doskonałemu. Tu jest ognisko, tu najwyższa siła ducha rozlanego w uniwersum, tu mózg tego ogromnego stworzenia, tu życia jego skupienie. Ubóstwienie słońca w mycie Persów doskonale pojmuję i tłumaczę sobie; wolę to, jak głupią Egipcjan cebulę.

— Nie tak głupią jak się waćpanu zdaje, szepnął baron po cichu; ale o tem potem.

— Silentium! zawołał profesor, a nie to fora ztąd z negocjami.

Baron ukrył się w kątek i począł zażywać tabakę,

poglądając to na nauczyciela, to na Tomka, który, wyznać to potrzeba, doskonale słuchał. A słuchać to także sztuką.

— Światło słoneczne, czyli materja w najdoskonalszym swym stanie; światło ukazujące się nam na ziemi tylko fenomenalnie, przypadkowo, cząstkowo — tu istnieje numenalnie.

— W płamach słońca zapewne! dorzucił cichuteńko baron, ale profesor nie posłyszał.

— Istnieje numenalnie, ciągle, trwale, i ożywia sobą, żyjąc w sobie...

— I to bardzo logicznie — mówił baron — niema co mówić.

— Ono się przelewa na planety na które pada, podnosi do życia te ich części które oświeca, wywołuje materję martwą do żywota, wyiskrza w niej zawartego ducha i skupia go na powierzchni.... Tworzy się ruch, tworzy się żywot, ale to zawsze mowa tylko o materialnym.

— Subintelligitur! mówił baron z miną rozśmieszająco-poważną.

— Około słońca krążą z zachodu na wschód planety z satellitami swemi. Satelity w świecie planetarnym reprezentują toż samo stanowisko, jakie w świecie naszym ziemskim zajmują rośliny, do ziemi przywiązane, przyrośnięte. Jak te rośliny one nie mogą ruszyć się od planet swoich i podlegają ich przemożnemu wpływowi; są to sługi sług.

— W miarę siły jaką ma planeta, liczba księżyców jest większa; niemi ocenić można siłę planet. Biegi, słoneczny w koło siebie, księżyców około planet i z niemi około słońca, a może ze słońcem około jakiegoś ta-

jemniczego słońce słońca, w kierunku kołowym lub eliptycznym, spowodowane są pociąganiem do środków, do ognisk ducha.

— A gwiazdy obłoczkowe? spytał baron.

— Powszechnie uważane są, odparł nauczyciel, za oddalone bardzo od słońca; niezmierna ich odległość wnosić nakazuje że własne mają światło.

— Bo zkął by go tam pożyczyć mogły, nie mając czem płacić ani procentu ani kapitału?

— Gdy księżyc naprzykład świecą z laski starszych sąsiadów. Według przypuszczenia Huygheus'a są może jeszcze takie gwiazdy stałe, których światło do nas, od stworzenia świata dojść nie miało czasu; a przecież nie idzie powoli i nie popasa w drodze. — Ztąd zupełna niepewność.

— I tu więc niepewność? i tu prawda nie odkryta jeszcze? spytał Tomek.

— Silentium i słuchać! tupiąc rzekł baron udający profesora. — Ale wróćmy no do obłoczkowych.

— Obłoczkowe, mgliste chcesz wasan mówić — odparł profesor pogardliwie! — kat ich tam wie! trudno z Hershelem przypuścić i nie ma czem tego zdania poprzeć, jakoby każda z osobna tworzyła odrębny system planetarny. — Są to według mnie dopiero formujące się światy, które etery karmią, a przestrzenie kołyszą, a sfery im pieśń śpiewając, niancząc je troskliwie...

Niechybnie, gwiazdy te które w różnych stanach skupienia postrzegamy, są to zarodki światów powstających. Herschel znalazł i rozróżnił w nich czternaście różnych stanów rozrzedzenia i skupienia, ale można ograniczyć ten podział do kilku: do gwiazd obłoczko-

wych rozrzedzonych, błyszczących, ukazuje się jąderek (z podwójnem jądrem, podłużne, kragłe) i jednojądrowych, już uformowanych, które tylko jeszcze mglistą atmosferę mają do kola, zdradzającą pieluchy.

— A raczej mleko pod nosem, przerwał baron, ale mnie to prawdziwie zajmować zaczyna jak bajka, pomówmy jeszcze.

Tomko wzdychał, widząc niepewność wszędzie; nauczyciel na jednego i drugiego niezważając rozpalony prawił dalej z wzrastającym zapalem.

— Pomówmy jeszcze o tych biedakach satellitach, kończył baron. — Los ich wcale mi się nie widzi go-dzien zazdrości, panie profesorze.

— Satelity, podchwycił nauczyciel, krążą około planet w większej lub mniejszej ilości, wedle ich siły, oddalenia od słońca itd. Jowisz ma ich cztery, zdają się być różnej wielkości i w różnych też rozrzucone odległościach, wedle których bieg swój w mniejszym lub dłuższym przeciagu czasu odbywają. Pierwszy w jednym dniu ośmnastu godzinach, ostatni w szesnastu dniach ośmnastu godzinach. Satelity te wedle Herschela obracają się także około swej osi, jak nasz księżyc.

— Wedle Herschella — powtórzył baron — a wedle innych?

— Wedle innych są inne przypuszczenia — dodał profesor — satelity Saturna, któremu ktoś pierścień na kark włożył.

— Biedny niewolnik! — szepnął baron.

Są w liczbie siedmiu, Uranusa w liczbie sześciu. Planety założąc od słońca, same są jednak, można powiedzieć, drugiego rzędu słońcami dla swoich satellitów; mają siłę utrzymać je w poddaństwie. Są to feu-

dalni księżęta. W miarę odległości swej i wielkości stosunkowej obracają się koło słońca szybszym lub wolniejszym biegiem. przebywając mniejsze lub większe drogi. Ziemia, jak panowie wiecie zapewne, jest trzecią z rzędu, a po niej następują Mars, Jowisz i cała czereda, którą znamy i której jeszcze nie znamy.

Drogi obiegu planet około słońca nie są wszystkie jednakie, ale z ich indywidualnością w związku. — Jowisz odznacza się swoją wielkością, Merkuriusz przybliżeniem do słońca: najosobliwiej i najcharakterystyczniej zorganizowany jest Saturn, otoczony pierścieniem, który go nie dotyka ale eliptycznie opasuje.

— Coś na kształt olbrzymiego obwarzanka nad głową dziecka, rzekł baron, smarkacz swywoilił, a mama bojąc się, by sobie głowy nie potulił, uzbroiła go podsieczką.

— Odległość tego dziwnego satellite, prawil dalej nauczyciel, wynosi prawie siódmą część odległości ziemi od księżyca. Siła Saturna, który na sobie unosi i ten pierścień i siedm jeszcze księżyców, jest daleko większa od wszystkich znanych planet. Saturn też leży daleko od słońca i sam w swoim państwie rządzi się absolutniej z tego powodu, jak to zwykle rządcy w majątkach dalekich od oka pańskiego. Za nim jeszcze jest Uranus i i Bóg wie! Uważcie tylko jak tu wszystkie planety w miarę oddalenia od słońca — króla, coraz więcej rolę słoneczną na siebie przybierają. Im dalej od niego, tem więcej księżyców: Merkuriusz pod okiem pańskim nie ośmiela się niktogo trzymać przy sobie, Wenus, Mars, Westa, Juno, Ceres, Pallas, nie mają ich także. — Jowisz ma już cztery. Saturn siedm oprócz pierścienia, Uranus sześć

(ale musi być pewnie daleko więcej, dojdziemy tego wkrótce).

— Aleśmy jeszcze nie doszli.

— *Paulatim summa petuntur.*

— I nie doszłicie także odległości gwiazd stałych na przykład od ziemi.

— Ale jej dochodzimy — Piazzii, Calandrelli i Brinkley zajmowali się wymierzeniem paralaxy gwiazdy Alfa w *Lirze*, każdy postępował wedle własnej metody.

— I wszyscy trafili na jedno?

— O! nie! co najciekawsza, że każdemu wypadło co innego!

Tomko zadrzał.

— Struve zupełnie znów nową metodą, niechybnie dokładniej od nich nam to wyrachuje....

— A o kometach także podobno nie wiele wiecie panowie?

— O kometach! nie wiele tak! ale niektórych mniej więcej o kilka miesięcy powrót zapowiedzieć możemy.

— O kilka miesięcy!

— Czasem mniej. Nie dziw, są to dla nas ciała hypotetycznej jeszcze natury, opisujące drogi krzywe mimo-środkowe, raz zbliżające się do słońca, to znów bardzo od niego odbiegające. Wiemy tylko z pewnością, że mają zwykle obłóczkowatości, ogony lub war-kocze w przeciwną stronę od słońca zwrócone — jakiś wylew materji jasnej na zewnątrz.

— Tyle to i ja wiem — przerwał baron.

— Są to zapewne — kończył profesor — ciała w stanie niedokładnego jeszcze uformowania, lub może planety należące do dwóch systemów słonecznych, które

się dowiadują do dwóch światów; posłańcy z innej niedostępnej nam krainy przelatujący niebo z wieścią od króla — słońca do słońca-króla. — Komety są bardzo różne co do swej natury; powracają one w różnych przestankach czasu; — są z ogonami i bez ogonów, z jądrem zgęszczonem i przeźroczystem. Ku słońcu zbliżając się spieszą jak zwykle posłańcy, ale za oczy pańskie się dostawszy, ruszają sobie z zakładem po gospodarsku coraz powolniej...

— Wszystko to i my po troszę wiemy — przerwał baron — ale dokładniej.

— Owszem, owszem mamy je pospisywane dokładnie, starannie... Na przykład w r. 1454 zakrywał kometa księżyc, tak był blisko ziemi. — Mój Boże! szczęśliwi co to widzieli! nam się pewnie nic podobnego nie trafi! I westchnął astronom, a Tomko zrażony zabierał się do wyjścia.

— Co? jak ci się zdaje? dużo tu prawdy myślisz? spytał go baron ciągnąc za pole.

Chłopiec nic nie odpowiedział, lecz spuścił głowę i umilkł.

Nauczyciel żegnając ich przez drzwi dodał:

— A proszę na lekcje.

— Uczyć się przypuszczeń! — dorzucił baron ze śmiechem.

XII.

— Wiesz co, nie martw się kochany Tomku, mówił schodząc ze wschodów baron do swego towarzysza — gwiazdy wysoko, niebo daleko a i nasze oczy nie wy-

śmienite i rozum na to za mały — tu prawdy trudno się dopytać, kiedy ona tylko na promykach do nas wędruje, które chwycić potrzeba nim blysnąwszy krótko zagasną. Prawda musi być dla nas w postrzeganiu rzeczy bliższych, przeznaczonych byśmy je uienstannie badali.

Ot właśnie jesteśmy pode drzwiami profesora fizyki, słyszę krzyk dzieci, a profesorowie fizyki zwykle ich miewają podostatkiem, może dla tego że nie siedzą w domu. — Chodźmy no do niego.

— A chodźmy — rzekł obojętnie Tomko.

— Myślę że on być musi na lekcji, rozpoczynać ją musi, bo to właśnie godzina jego, więc spieszymy lepiej do sali.

To mówiąc weszli do wielkiej sali, w której lud słuchaczy drzemał rzadko rozsiany po ławkach. Profesor błądy ale bardzo poważny, gestykulował w katedrze i zrywał się nachylając niekiedy ku słuchaczom, którzy mieli minę jakby go wcale nie słuchali.

Baron uczyniwszy niski pokłon, zasiadł z Tomkiem w pierwszej ławie i przybrał minę arcypoważną, pełną skruchy i namaszczenia, rzekłbyś że się gotował do nabożeństwa.

Nauczyciel rozpoczynał naukę o świetle i z miną majestatyczną wyrzekł to axioma, niemożące, zdaje się, być zaprzeczonem:

— Światło, mości panowie, jest ciałem nieważkiem.

— Przecież je przeważono! rzekł po cichu baron, ale to zostanie między nami.

— *Silentium.*

— Będziemy tu mówili nie tak o niem, jak raczej o jego działaniu, o prawach jego bytu i stosunku do

ciał innych, gdyż wewnętrzna natura i istota tego płynu są nam zupełnie nieznanne.

— Tak jak wszystkiego na świecie, rzekł zawsze przerywać lubiący baron Lucyfer.

— Powierzchnie gładkie odbijają światło.

— Świadkiem łysina profesora, szepnął ktoś z boku.

— Za pomocą promieni wychodzących z ciał świecących, widzimy te ciała; za pomocą promieni odbitych od powierzchni ciał, widzimy oświecone. Nierówna ilość promieni od powierzchni ciał odbitych podług jakości powierzchni i natury tych ciał w różnym nam je okazuje blasku. Ciała pod względem światła dzielą się na pochłonywające, na przezroczyste i przeświecające.

— Za pozwoleniem — odezwał się baron. — Bardzo to zapewne wygodnie być musi, panie profesorze, tak sobie usłać łóżko i potem na niem leżeć, ale co się tycze własności ciał, jest to tylko przypuszczenie i dowolność.

— Co to jest? — zapytał nauczyciel — opozycja! krytyka! dysputa!

— Nie! to tylko pytanie. — Własności ciał należą wszystkie wszystkim tylko w różnym stopniu. Niema w istocie ani zupełnie przezroczystych, ani całkiem nieprzezroczystych; tak jak niema też absolutnie sprężystych i niesprężystych; — wszystkie ciała są obdarzone własnościami jednemi, ale w bardzo różnym stopniu. — Panowie tylko przypuszczacie dla swojej wygody jakieś wyłączenie własności jednemu, odmawiając ich całkiem drugiemu. W naturze wszystko jest do nieskończoności stopniowane, a tych szranków, które nauka ludzka kreśli, niema i nie było.

Profesor osłupiał, słuchacze powstali, zrobił się szmer przepotężny i Bedel wyrzucił za drzwi Tomka z jego towarzyszem, tak że dalszego ciągu nauki o świetle słyszeć nie mogli.

XIII.

— Nie mamy tak dalece czego płakać, rzekł Niemczyk, bo i tu prawdy byśmy się nie wiele dowiedzieli. Fizyka jest dziś jak stary zastawnik, którego lada chwila wyrzucić mogą z nieprawnie posiadanego majątku. Już ona granic między swą majątnością a dobrami chemji zakreslić dokładnie nie umie, a na starych i zgniłych siedząc posadach i usiłując jeszcze osobno mówić o świetle, osobno o cieple, osobno o elektryczności i magnetyzmie, gdy podobno wszystkie te fenomena są jednym, wkrótce będzie musiała całkiem się przetworzyć, by żyć. Fizyka jest jeszcze jedną z tych starych pozostałości, którą eksperymentacja dalsza i postępy chemji zmuszą do całkowitego od stóp do głów przeistoczenia.

To mówiąc weszli na salę, w której nauczyciel ogólnemi uwagami rozpoczynał historję zwierząt i ich organizacji. Baron poklonił się nisko, posadził Tomka i szepnął mu:

— Słuchaj no, już to podobno dziesiąty czy dwudziesty system w tym przedmiocie za ostateczny uważany, posłyszysz. Warto ucha; boć gdyby nawet wszystko fałszem było, dowodzi jak człowiek bogaty. Trzęsie jak z rękawa przypuszczenia i co godzina świat nowy tworzy, gdy nasz stary pan Bóg jednym się tylko

kontentował. Prawda że niczego mu się udał !!

— Nerwy i mózg, w swem coraz doskonalszem rozwinięciu stopni, odcechowują zwierzę.

— A cóż człowieka? — spytał baron.

— W miarę jak mózg się uwyrażnia, oddziela, powiększa, jak on się staje siedliskiem a ogniskiem życia, centrem głównym, organem panującym, nerwy też okazują się subtelniejsze. Zwierzęta niższych organizacji mają nerwy grube, węzły nerwowe więcej rozwinięte, bo to jeszcze życie mniej skupione, bardziej rozlane; im doskonalszy twór tem nerwy stają się delikatniejsze.

— Tak że w najdoskonalszym tworze, zapewne — rzekł baron — skończy się na tem, że żadnych nie będzie!

— Mózg zaś w miarę wyższej organizacji coraz się powiększa i bogaciej organizuje.

— Tak że w idealnem zwierzęciu będzie zapewne jeno sam prześliczny mózg, który sam za wszystko stanie. — Chciałbym je mieć na stół, bo mózgi lubię.

— Węzły te, gruczoły czyli mózdziki, rozprowadzają życie po całym ciełe owadów, robaków i skorupiaków. Dla tego to rozdzielenia w nich (że tak powiem) życia, rozciąć je możesz i nagle nie pozbawisz go; dla tego żółwiom wyjmiesz mózg a życie zostanie.

— I to wszystko — przerwał z cicha zyderca — prowadzi złą organizacją!

— U coraz niższych zwierząt jak polipy, gangliony nerwowe rozsypane są, tak właśnie jak nasienie w grzybach, po całym ciełe. Im bardziej duch zwierzęcy, *anima animalis*, skupia się, jednoczy w ognisko jedno, tem zwierzę doskonalsze. Człowiek z tego sta-

nowiska uważany, li jako zwierzę jest szczytem organizmu.

— I egoizm — dodał baron.

— Zmysły.

— Za pozwoleniem pana profesora, jeśli się godzi przerwać i spytać, rzekł Niemiec — czy są zmysły, czy tylko zmysł?

— Powszechnie przypuszczamy pięć zmysłów — poważnie odpowiedział nauczyciel.

— Czy wolno mi uczynić objeKCję?

— I owszem, bardzo proszę.

— Jestto stara formułka, zmysł w istocie jest jeden tylko.

— Jaki?

— Dotykanie.

— Jak to?

— Wiem o tem, że i co do liczby zmysłów są różne zdania, bo niektórzy do pięciu dodali szósty generacyjny, a siódmy zrobili lepiej sześć poprzedzających w jedno. Ale to sobie niewinna zabawka! To co zowią zmysłami niewłaściwie, są to *organa* jednego zmysłu, dotykania. Wszakże oczyma *dotykamy* światła od gwiazd nawet, zapachy *dotykają* naszego nosa; ustami *dotykamy* potrawy, ucha *dotykają* dźwięki. Pięć organów zmysłowych, są jak pięć palców jednej ręki, posługaczami jednego zmysłu. Te pięć organów wymienione są na pięć głównych a raczej cztery stany materji, (gdyż smak i powonienie są prawie jednym i ściśle łączą się z sobą). Oko jest organem dotykania ciał promienistych, ucho do płynów (powietrza), usta do ciekłych lub w pół ciekłych, naroszcie palce i reszta ciała do zsiadłych stałych.

Każdy organ zmysłu bada stosowne sobie stany, a że w naturze niema nigdzie nic zupełnie wyłącznego, niekiedy organa się zmieniają i zastępują wzajemnie. Tak w snach magnetycznych.

— Idź-że asan spać! przerwał profesor, kiedy już o snach prawie zaczynasz.

Baron uklonił się, zamilkł i usiadł, a nauczyciel mówił dalej:

— Zmysły egzystują u zwierząt mniej więcej rozwinięte wedle organów, jakie im dała natura, wedle środka w jakim żyją. U niższych zwierząt właściwie zmysł jest jeden, bo one całe są jedynym zmysłem. Rozwinięcie organów determinuje się u zwierząt samą do życia ich potrzebą, zastosowuje do środka, w którym żyć są przeznaczone. Przypuszczają że rośliny właściwego sobie ciepła własnego nie mają, chociaż ruch pewien wewnętrzny sam, procesem życia musi jako ruch wzbudzać niezbadaną ilość ciepła. — *Arum* roślina Europy południowej w czasie kwitnienia od 30 do 36 stopni ciepła objawia.

W zwierzętach im wyższy stopień ciepła, tem więcej podsyca i gorętsze życie, krew zimna znamionuje niższą organizację, uczucie słabsze. Powszechnie przypisują procesowi oddychania, to jest gorzenia w płucach powietrza, ciepło krwi.

— Czemuż także nie całemu wewnętrznemu ruchowi organizmu, rzekł baron — wszak ci ten jako ruch musi także wyrabiać ciepło.

— Zwierzęta z krwią zimną drętwieją pospolicie na zimę z łatwością. — Płuca u ryb zmieniają się w dychawki, i kanały rozchodzące się po całym ciele. Płodność zwierząt jest w stosunku odwrotnym gorącości ich

krwi i zogniskowania życia.

— Patrz waść na co się to zdalo doskonalszym urodzić i z gorącą krwią!

— Pojąć że łatwo, że mniej doskonały, mniej w sobie uorganizowany twór łatwiej się rozpladza, niż ten który życie mając w sobie skupione silnie, trudno się niem podzielić może. Trzeba było ponęty najwyższej rozkoszy, żeby zmusić zwierzę do rozłamania, do podzielenia się życiem. Różnicę płci tak wybitne w wyższych organizacjach znikają zupełnie w polypach, które jak grzyby są obupłciowe i rozmnażają się bez ustanku. Im wyżej idziemy, tem różnicę indywiduów czynnego i biernego stają się dobitniejsze. Kobieta względem mężczyzny jest prawie oddzielną istotą w porównaniu do lwa i lwicy.

Im zwierz doskonalszy, tem też organa pewne służą mu do oznaczonych stosunków, jednych drugimi zastąpić nie może.

— Doskonała miara doskonałości, i ztąd jasno. rzekł baron von Teufel, dla czego przy wyższej cywilizacji, dwóch też potraw jednemi widelcami nie jedzą.

— W wyższych stopniach organizacji widzisz odrębne zupełnie organa oddychania, żołądek oddzielny, nerwy i mózg; pokarm bierze się jednym otworem.

Zwierzęta wszystkie wedle pospolitego twierdzenia i nazwania mają *instynkt*. Instynktem tu zowie się ścisły ich związek z naturą, ich z nią zjednoczenie, zespolenie, ich niewola i przykucie do ziemi. Pszczoła tak właśnie bezmyślnie buduje swe komórki, pajak wije swą sieć, jak kryształ się formuje wedle pewnego prawa. Instynkt czyli duch powszechny przelewający się i ożywiający zwierzę, gra w nim bez jego wiedzy; ztąd

czynności zwierzęcia w pewnych danych warunkach są zawsze jedne i też same, zawsze niechybne, bo bezrozumne. Instynkt jest nieomylny, człowiek odrywając się od natury, dobiwszy się niezawisłości od niej.

— Wiemy coś o tej niezawisłości!

— Człowiek opierając się na rozumie własnym, na wiedzy o sobie i samopoznaniu, właśnie dla tego, że jest rozumnym, myli się i błądzi.

— Jak to pocieszająca rzecz dla ludzkości, prze-rwał baron, nieprawdaż Tomku, dla tego głupi, że ma rozum!

Tomko boleśnie się skrzywił.

— Zwierzęta od początku świata mają tylko historję swej natury, człowiek ma historję swych upadków i postępu. One będąc częścią *universum*, złane z niem, zniewolone są pod wpływem jego do pewnych machinalnych czynności; człowiek jako jednostka wyswobodzona, ma swobodę czynu, swobodę błędu, ale i nadzieję postępu.

W miarę jak sam człowiek mniej jest rozwinięty umysłowie: w dzieciństwie, w stanie upadku i dzikości, w chorobie, gdy dusza w nim usypia, — odzyskuje instynkt utracony wyrzekając się rozumu i staje się na chwilę niechybnym jak zwierzę.

Dziecię szuka piersi, chory czuje potrzebę pewnych pokarmów, jak zwierzę szuka lekarstwa w pewnych roślinach, których nie zna własności, ale ku którym instynkt je pociąga, jak magnes żelazo. Zwierzę obdarzone instynktem niema woli, niema wyboru, jest w ciągłej konieczności. — Tu miejsce, dodał nauczyciel, napomknąć o duchu i duszy.

— Czekamy, czekamy, i uszy otwieramy, zawołał baron, chociaż to pachnie panną Scholastyką.

— Duch którym obdarzone jest zwierzę, jest częścią tylko ducha rozlanego w *universum*, jest cząstką; dusza jest całością w sobie. Zwierzę ma tylko ducha, człowiek ma duszę. On jest w sobie cały, świadkiem, mikrokosmos.

Zwierzęta rozmaicie się dzielą; podziały te mniej więcej sztuczne na cechach stałych oparte, nigdy ściśle nie mogą być.

— Słyszysz! rzekł baron.

— W naturze wszystko jest ciąglem stopniowaniem nieskończonem, nigdzie dobitnych granic i żelaznych słupów. W ogólności nie na skrajach podziałów które się z sobą łączą, ale w środku ich prawdzi się klasyfikacja.

— Może już dosyć o zwierzętach? spytał baron. Inn zoologów znakomitszych, tyle podziałów, a wszystkie jedne od drugich lepsze. Jedni patrzą tylko w zęby, drudzy tylko na nogi, inni tylko na grzbiety, a nikt jeszcze nie domyślił się patrzeć na wszystko razem. — Prawda i tu jeszcze daleko.

— Chodźmy rzekł Tomko — dosyć w istocie słyszałem żeby w nie nie wierzyć. Ale to wina metody, ludzie zbyt odważnie puszczają się bez faktów na morze syntezy, ztąd błędy.

— Myślisz że wielość faktów nagromadzonych zabezpieczy od błędów? Wcale nie! Zobacz co się dzieje z chemią; składa się ona z stu tysięcy formułek i formuł, które leżą rozsypane po ziemi bez znaczenia, bez związku: są dokładne, ale do niczego nie prowadzą, bo ich synteza nie powiązała.

Zresztą kochanie moi, ty myślisz, że syntezą, synteza, a analizą analiza; w tem się okrutnie mylisz,

ot chodźmy na lekcję logiki, a i o metodzie posłyszym.

— Chodźmy, zgoda.

XIV.

Drzwi były otwarte, sala prawie pusta, a w przyemionym kątku cichy, powolny głos nauczyciela odzywał się do lawek.

Wszystko do koła drzymać się zdawało suem bardzo logicznym. Kilku odważnych profesorów *in potentia*, z głowami podniesionemi do góry i usty wypukłemi od myślenia, zdawali się słuchać szczerze, ale myśl ich była podobno gdzieindziej; jedna siedziała na fartuszk, druga na garnuszk, trzecia na gałęzi, inna latała po polach, a nie wiem wiele drzemały.

Nauczyciel spojrział z ukosa na Tomka i jego towarzysza i tak ciągnął dalej:

— Dwie są tedy wśród wielu główne metody — *in analitica ex veritate particulari nota, ad alias quae pertinent ad rem aliquam singularem progredimur. In synthetica vero methodo, generales quasdam veritates proponimus, ex quibus veritates singulares deducimus.*

— Przepysunie, rzekł baron, słuchajmy rozwinięcia.

— Metoda syntetyczna, którą także zgadającą zowią, panującą była od najdawniejszych czasów do XVII. wieku. Bakonowi przeznaczonem było uzyskać nieśmiertelną sławę twórcy analizy i zakładczy nowego gmachu....

— Za pozwoleniem przerwał baron, jeśli nauczyciel pozwoli, uczynim obiekcję. Bakon dotąd jest źle zrozu-

miany a analiza i synteza źle pojęte. — Jeżeli wolno ja z ławki naszej postaram się rzucić na to wejście bezstronne.

— Prosimy, rzekł powolny nauczyciel logiki; a na to niespodziane *dictum*, uczniowie oczy przetrarli, paląki prząść przestały i mysz uczęszczająca na ciche lekcje logiki, z wielkim przestachem w drobnią dziurkę się zaszyła, poglądając co to się stało. Baron z okiem zaiskrzonym, zażywwszy tabaki, tak mówił:

— Scholastyczna umiejętność opierała się cała na syntetycznej metodzie. Czem ona była w głębi? Oto sądem syllogistycznym z malej liczby prawd ogólnych o szczegółach, właśnie jak pan profesor powiadał. Cała rzecz więc na tem, że na *małej* liczbie danych opierała się cała pewność. Z tej szczupłej garstki pewników, silily się umysły na subtelne wywody, często nadaremne, a zawsze fałszywe. Budowano genetycznie światy na wzór Timaea platonowego, wyrывая kawalki Platonowi, które on (nieprzemawiając) zapożyczył sobie także cichaczem od Pythagoresa, Demokryta, Protagora i wielu innych. Krucho to były budowy zaiste! Opierając się na posadach nie licznych prawd, nie mogły idąc w górę się rozszerzyć, gdy w dole tak wąsko miały założone fundamenta. Umiejętność cała na wnioskowaniu leżała; szczupła ilość danych do wnioskowania nie dostarczała materiału; — umiejętnicy bawili się ze światem jak kot z kłębkim poplątanych nici.

Powstał Bakon, krzyknął na syntetyczną metodę scholastyki, a że scholastyka jak Arystides dojadła była ludziom nieustannie im od wieków zachodząc drogę, przepędzono ją zaraz, ogłaszając panowanie analizy.

Odtąd źle pojmujący Bakona i metodę jego wołać poczęli: Mnożcie fakta i doświadczajcie, w empirji zbawienie, umiejętności!

Głos to był nierozumny, namiętny!

Empirja bez spekulacji, spekulacja bez empirji obejść się nie mogą — są to dwie ostateczności i jako ostateczności są dwa fałsze, są to prawie adaequata, są jednym co do skutków swych. W spojeniu umiejętnem dwóch metod leży przyszłość naukowa ludzkości. Wszelka ostateczność jest granicą umysłową, jest rębem za którym ciemności; między temi rębami — prawda.

— A przecież! rzekł Tomko.

— Prawda jest rzeczywistością.

— To znowu co innego! — dodał smutnie nasz uczeń.

— Prawda jest rzeczywistością, kończył baron a w ostatecznościach niema rzeczywistości — ostateczności są jej określeniem, obmurowaniem. W gruncie zaś synteza i analiza są prawie jednym.

— Horrendum et absurdum! zawołali uczniowie.

Cała rzecz że w syntezie rządzą się jednym, dwoma, niewielką ilością faktów, a w analizie wielą. Sprawa między *ilościami* tylko; sprawa więc właściwie o to: czy z małej ilości faktów, na wielką ilość wnosić się godzi? Tu analiza odpowiada, że u niej większa ilość faktów daje lepszą rekojmię pewności. Ale któż znowu określi, co małą, a co dostateczną jest ilością i gdzie granica ilości z której wnioskować godzi się lub nie można? Jeden fakt często dostateczny, a tysiąc innych za mało?

Idzie więc o godziwość wnioskowania tylko, o samą naturę wniosku. Synteza jest także aposteriorycznością, bo i ona bez pewnych faktów choćby nie wielu nie

nie zrobi. Spekulacja musi mieć też jakąś posadę. Powtarzam że tu cały interes w *ilości* faktów, a gdy tu nie ilość, ale ważność i znaczenie faktów stanowią, chodzi więc znowu o rozgmatywanie, które fakta są ważne a które obojętne, zatem o w a ż n o ś ć faktów.

Dla tych co pod obłoki wynoszą samą analizę czystą, spojrzymy cóż ona tak mądrego bez syntezy potrafi? Spojrzymy na stan umiejętności opartych na samym doświadczeniu: na chemję, na fizykę. Dzieła dzisiejsze w tym przedmiocie są ogromem faktów odrębnych, bez związku, bez solidarności, bez kleju, bez nici coby je z sobą spoila, są ową platonową masą chaotyczną materji, której Demiurgos ma dopiero kształt nadać.

Idąc samą analityczną drogą do niczego się nie dojdzie: sposobi się i gromadzi materiały, zsypuje kamienie na kupę, rozdziela wielkie od małych, małe od drobnych, cement na jedną kupę, i z tego zbuduje gmach. Analiza przysposabia materiał, nie więcej. Związku żadnego między faktami ona nie utworzy. Synteza tylko twierdzi a *priori*, czego a *posteriori* jest pewna, a że swą prawdę ogólną rozdziela po troszę i zastosowuje, toć słuszna; wierzy w prawdę ogólną.

Analiza i synteza absolutne są chimerami nrojeniem. W każdej analizie są aprioryczne jakieś założenia, z których nawet empiryczne doświadczenie płynąć musi, chce-li nie na los i wypadek, to rzecz już nie myślącej istoty, i przypadek nawet kopalni solnych u nas odkryć nie mógł, choć go o to posądzają. Piękna to rzecz, kłaniać się i czekać wypadku trafu! Tak więc i analiza w głębi jest czemś syntetycznem.

Synteza znowu także sama przez się nie egzystuje,

bo we wszelkiej syntezie są pewne fakta zdobyte wprzód, na których się ona opiera. Zresztą idźmy po wyrok do waszego Bakona, którego powtarzam, podobno rozumieć nie chcecie. W metodzie jego nie idzie o to wcale, żeby wygnać syntezę, ale żeby ją pod pewne podciągnąć prawa. U niego najważniejszą gra rolę powolne, stopniowe nogłaianie i wnioskowanie.

Bakon zarzuca dawnej metodzie zbyt tylko porywczą syntetyczność i nadbyt pospieszny wniosek, na przykład z obiegu planet po drogach krzywych, wniosek o sferycznych kregach. Ale tu nieborak choć pozornie miał słuszość, nie zastanowił się nad naturą ludzką. Omyłki tego rodzaju są obfite w wypadki, są matką prawd późniejszych. — Ze sferycznych kregów przeszliśmy do ellipsy, do której od razu przystęp był niepodobny.

W błąd podobny może popaść i analiza.

Bakon zaleca postrzeganie, doświadczanie, wątpienie i wyłączenie bez końca; idzie przez fenomen do numeryczności i wszelką nadzieję w fenomenie pokłada. Kłasyfikacja więc fenomenów jest tu największej wagi i ich zbieranie stanowi rzecz całą; ale niemniej tenże sam Bakon zaraz żąda nżytkowania z analizy przez syntezę powściągliwą, zaraz zaleca spojć fakta i daje tego areypocieszną próbę w swojej rozprawie o wiatrach.

Bakonaście panowie nie zrozumieli, a sam Bakon jakkolwiek wielki, zapominał że historia błędów ludzkich jest razem historją pogoni za prawdą.

Tomek się zżymał.

— Tak; przez błąd idziemy do prawdy na drodze rozumowej, przez omyłki nczymy się jej. Potykamy się i podnosim, innej drogi na nieszczęście niema. Ani ana-

liza, ani synteza, ani nawet obie razem spojone, nie uchronią nas od błędów i fałszów, przez które przechodzić musimy.

Dosłyszawszy tych wyrazów, Tomko zatknął uszy i uciekł, w chwili gdy nauczyciel ruszywszy tylko ramionami, odzywał się bez najmniejszego wzruszenia kończąc swą lekcję:

— *Methodi analyticae leges* — 1° *Conservanda est evidentialia.....*

Baron goniąc za swym towarzyszem, w korytarzu już krzyknawszy, dodał:

— Ciekawy jestem, czy nie spróbuje dać definicji ewidencji!!

XV.

Wyszli na powietrze. Tomko potrzebował nieco ochłody, a baron rzeźwy i niezwalczony, brzęczał mu nad uchem.

— Cierpliwości! musimy przecie odkryć gdzieś prawdę choćby na lekcji filozofji.

— Dajmy jej pokój na dziś, proszę.

— No, to spróbujmy może matematyki; przynajmniej jej prawdy są nieporuszone, niezmiennie, przepotężne.

— Ale w martwych liczbach może być cała prawda? jakaż by była zimna, sucha i biedna.

— Dodaj kochanku że całuteńka matematyka ogólnie wzięta, redukuje się do tej ogromnej prawdy jedynej, że

$$a = a.$$

Tyle kłopotu. żeby na ostatku dojść zachwycającej głębokością formuły

$$a = \text{równe} = a.$$

— Jak to?

— Tak, kochanie moje. Condylac i Szkoci mają w tem trochę słuszności. W istocie cała matematyka składa się na tę formułę niepokojącą, która niedaleko zaprowadzić może. Skutkiem biednego uorganizowania naszego umysłu, nie chwytny od razu wszystkich rzeczy własności, ale ich dochodzimy powolnie, empirycznie, doświadczając, porównywając, pracując. Stosunek koła do promienia, stosunek kątów w trójkącie i do trójkąta, cóż to jeśli nie proste definicje tylko koła i trójkąta natury?

Stosunek różnych do siebie przedstawia coraz nowe dla definicji pole: przechodząc od linii do powierzchni, od powierzchni do bryły, stosunki te coraz się mnożą i komplikują. Ztąd definicje brył już idą daleko ciężiej, ztąd teoria przecięć ostrokągowych musi się rozłożyć na niewyczerpaną prawie naukę. Samo dokładne wyliczenie linii w całej ich nieskończonej różnorodności z poruszenia punktu wynikających, wyliczenie wszystkich możebnych powierzchni, wszelkich brył, już nie ma prawie końca. I tu prawda składa się z tysiąca drobnych części; a najczęściej uwięzniesz w prawdach, nim dojdiesz do prawdy. Matematyka więc, powtarzam, jest definicją; i definicją stosunków ilościowych.

Matematyka, odparł Tomek, jakkolwiek umysł ludzki podnosi, zaostża i wykształca, jest nauką ilości, zatem nauką z ciała wynikłą; a że ciało nie jest prawdą lub same przez się przynajmniej — nie jestem więc ciekawy i tej nauki.

— Klaniam nuiżenie, a dusza bez ciała?

— Dusza bez ciała może być, to pojmujemy, a ciało bez duszy?

— Ale to na naszym biednym świątku?

— Tu? alboż to tu koniec?

Baron zaśpiewał coś pod nosem niezrozumiałego i zakończył sobie po grecku:

— Pożywienie jest dla rozumnego rozumno.

A więc chodźmy się ogrzać gdzie pokarmem myśl, i ruszajmy w dalszą pielgrzymkę.

— Nie — dziś spoczniemy, rzekł Tomko, pójdę do domu, głowa mi się zawraca.

XVI.

Nazajutrz Tomko siedział zadumany i zniechęcony, gdy baron Teufel pochwycił go za rękaw sukni, wstrząsnął i odezwał się.

— Takiż przecie musisz pójść posłuchać, co mówią in *Alma Akademia* o twojej kochance.

— Odpadła mnie ochota.

— Ale pójdziesz; posłyszemy na jednym korytarzu dwie przynajmniej odmiennie definicje prawdy, a obie równie fałszywe, toć przecie warto kilka kroków. — U św. Jana bije właśnie druga, chodźmy, chodźmy!

— A! idźmy kiedy chcesz.

— Idziesz! cudo! admiruję twą męczeńską stałość i zapoznaną cnotę! Dowiesz się w nagrodę jednej a jedynej na świecie prawdy najpewniejszej; mianowicie: że prawdy u nas całkiem nie ma.

Drzwi do sali w której czytano kurs filozofji były

właśnie otwarte i nasi ciekawi przybysze weszli niepostrzeżeni między uczniów, którzy słuchali prelekcji, jedni czytali Idziego Blasa z Santyllany, drudzy pisali listy do rodziców, inni rozpowiadali sobie cicho swoje przygody na bulwarach. Nauczyciel którego obowiązkiem było mówić, nie być słuchanym, *im pavidus* stał w katedrze i pędził poczęty kurs. *ad perfectam saturationem* uczniów.

— Cała filozofja. mówił, dzieliła się dawniej na Dialektykę, Fizykę i Etykę.

— Podział, dorzucił baron Teufel, który ma tę największą zaletę, że jest troisty, chociaż niedorzeczny; niemniej jednak troistość jest rzeczą prześliczną: (dodał po grecku) wskrós bowiem w świecie świeci trójca.

A ciszej: zawsze od jedności się zaczyna.

— Dialektyka była razem logiką, logika u późniejszych stoi także na czele nauk filozoficznych jako wstęp do metafizyki, antropologii i estetyki. W właściwej metafizyce mieszczono to, co dziś powoli przeszło do logiki. W praktycznej filozofji zawierała się moralność, prawo natury, polityka i pedagogika. Psychologją, dochodzącą władz człowieka (później krytykę czystego rozumu).

— Dowodzącą że go nie mamy — mruczał nieznośny baron.

— Uważano za propedentykę do wszelkiej umiejętności metafizycznej. Logikę zwano także filozofją formalną. W rozpoznaniu władz człowieka, zgadzano się na wiedzę (*conscientia*), zmysłowość i umysł.

— *Plaudite!* krzyknął Teufel — ale poczekajcie, będzie tego i więcej!

— Wiedza była najniższym stopniem poznania. Zdolność odbierania wrażeń wewnątrz nazwano: zmysłem wewnętrznym. Rozdzielano poznanie rzeczy na pocucie, postrzeżenie, władze niższe, na uwagę umysłową, imaginacją i pamięć. W samej imaginacji były jeszcze różne szufladki z pomniejszych ingrediencjami, jako to: zachowywanie wyobrażeń, odwzorowywanie, przypominanie, odosobnianie i władza tworzenia, zmyślania.

— Bardzo obfita w człowieka — dodawał baron.

— Związkiem idei czyli wyobrażeń tłumaczono wewnętrzne ich snucie się w pewnym porządku, choć Campanela dawno był spostrzegł, że logika natury rzeczy, nie mogła nawet silić się dochodzić i wyrzekł że była prostą nauką formy; niemniej zachciewało jej się czasem i istoty samej.

— Była zupełnie jak staruszek któremu się czasem dziwnych rzeczy zachciewa, póty, póki mu ich nie dadzą.

— Prawo stowarzyszenia się myśli (*associatio idearum*) opierano na ich współtrwaniu (*coexistentia*), pokrewieństwie (*affinitas*), zawisłości (*causalitas*). — Nie dopuszczano jeszcze wcale idei obok siebie sprzecznych, które przez to samo że są sprzeczne wzajem się wywołują.

— Ależ gdzie prawda na którą czekamy? spytał Tomko barona.

— *Patientia et labor improbus*, słuchaj naprzód nauczającej historii fałszów. a dopiero dowiesz się prawdy.

— Wyobrażenia rzeczy dzieliły się na poznawanie (*cognitio*), pojęcie, sąd i wniosek. Na tych to trzech terminach zbudowano całą logikę; do nich odniesiono

władze człowieka, których musiałoby być naturalnie ni mniej ni więcej tylko trzy.

— Wszędzie bowiem — począł baron po grecku, ale nie skończył.

— A zatem powstały: Pojętność (*intellectus*), rozsądek (*facultas abjudicandi*) i rozum (*ratio*). *Intellectus*, służył tylko jak łyżka do przyjmowania (pojmowania), *facultas abjudicandi* jak zęby i gęba do osądzenia, co to za strawę łyżka podał, a *ratio*, *ultima ratio*, jak żołądek do spożytkowania ze strawy. Wniosek — zwierzętom przyznawano łaskawie (bo coś im przecie dać także potrzeba) niższe tylko władze, nie określając ich ściśle; rozum i wniosek zostawiono na własność wyłączną człowieka, człowiek się zawsze dobrze dzielić umiał.

Długo mówił profesor, długo szydził baron von Teufel, ruszał ramiony Tomko, aż nareszcie przyszli do prawdy.

— Taki był wstęp do logiki właściwej, za cel jej naznaczono wskazanie prawideł dochodzenia prawdy a unikania błędu. Tu mieściła się definicja prawdy i jej poznawania, definicja *criterium* czyli znamienia. *Prawda* mówiono, *jest to zgodność poznania z przedmiotem*.

— A że przedmiot o tyle jest dla nas, o ile go poznajemy, określenie więc to redukuje się najściślej do — zgodności poznania z poznaniem, czyli

zero = równe = zero.

Tomko dosłyszawszy tych słów porwał się oburzony i chciał uciekać, baron dogonił go w progu.

— Co tobie?

— Czyż jeszcze dalej mam słuchać?

— Przecież to historia twojej kochanki.

— Tak! dzieje jej nieszczęść. Na cóż serce sobie kaleczyć; chodźmy, nie się tu nie dowiemy. Pomimo usilnych barona nalegań, który za nos wziął był biednego filozofa, Tomko nie dał się zawrócić i wybiegł na ulicę, ulicą w rynek, z rynku na przedmieście jak szalony — baron pędził za nim.

XVII.

Nazajutrz znown ochłonawszy, nabrawszy siły, posłusznej swej dziwnej, zawsze w nim tkwiącej myśli. Tomko powracał do nadaremnych i zawiedzionych poszukiwań. Baron wszędzie mu towarzyszył. Szukali teraz filozofów i chcąc się bliżej niż na sali przypatrzeć jednemu z nich, zapukali do drzwi jego pomieszkania.

W ciemnej sieni brudna ich spotkała kucharka i zmierzyszy oczyma, nagderawszy pod nosem, otworzyła drzwi do pokoju, mówiąc: poczekajcie!

Tomko z baronem pozostali sami na chwilę w przedpokoju, gdzie jeden chudy kanarek trzepotał się po klatce. Drzwi otwarte do bawialnego ukazywały w nim kilka starych krzeseł, kanapę z włosienia i stolik dość nieczysty. Z trzeciej izby głos ich dochodził gderliwy, wybuchający chwilami wśród sprzeczki jakiejś dość żywej.

— Ba! pomyślał Tomko, filozof ani chybi dysputuje.

Mimowolnie wkrótce też i dysputy dosłyszeli.

— Twój zastaw nie nie wart.

— Wielmożny panie, perły.

— Zbieranina nierównej wielkości i wody.

— Wielkość! woda! rozumiem, rzekł roztargniony Tomko, jest to dysputa o początku wszech rzeczy.

Ale następne wyrazy wywiodły go z błędu.

— Dam dziewięćset ani szeląga więcej.

— Wichmożny panie! półtrzecia na miesiąc i z góry czy to może być?

— Chcesz, nie chcesz, jak ci się podoba.

Potem umawiano się ciszej, Tomko już nie zrozumieć nie mógł.

— Są to formuły, mówił w duchu pocieszając się, potrzeba być wtajemniczonym.

Nareszcie drzwi się otworzyły i w szlafroku zatłuszczonym, z gołą wyschlą i pomarszczoną szyją, łysy, w okularach, wszedł mistrz.

— Kłaniam się! — rzekł.

Tomko przystąpił z uszanowaniem, pocałował go nawet w rękę podobno i zaczął mówić:

Co mówił? nie powtórzymy, z przejęciem opowiadał on swoją historję; stary słuchał go, to z marssem na czole, to z pół uśmiechem, to ramionami ruszając.

— Chcecie poznać prawdę? — rzekł na ostatek — a no! to chodźcie na moje lekeje. — Jeżeli jest gdzie prawda, znajdziecie ją niechybnie w moich seksternach, a myjcie sobie głowę zimną wodą rano i wieczór.

To mówiąc z uśmiechem zawrócił się i wyszedł.

XVIII.

Baron trzymał się za boki od śmiechu, którego pohamować nie mógł.

— Stary głupiec, stary lichwiarz! wołał, po cóż bo było iść do niego. Prawda, sam cię poprowadziłem i muszę wynagrodzić ten zawód. Chodźmy do innego, do młodszego i pełnego życia nauczyciela.

Poszli znown.

Za dymem mnogich fajek i wrzawą okrutną ledwie dojrzeć i dostąpić było można do nauczyciela, którego głos ginał wśród tłumnie zebranych gości wykrzyków. Mistrz właśnie grał w karty i lulkę palił, weseląc się z przyjaciół.

— Przyprowadzam wam ucznia, rzekł przedstawiając Tomka baron Tenfel, pragnie on gorąco prawdy i szukając jej chodzi po świecie, jak dziad za żebranią.

Rozśmiał się na całe gardło już widząc uprzedzony uczony, zmierzyl oczyma od stóp do głowy biednego Tomka i rzucając karty o stół, a zarzucając na tył głęstą czuprynę, zawołał patetycznie:

— Lubię to poświęcenie i zapal młodzieńczy — *Macte animo*, znajdziesz czego szukasz!

— Rozpocznij studja pod mojem przewodnictwem; nie poprowadzę cię staremi, wybitymi drogami, które do niczego nie wiedą. Na nowych świeżo przetrzebionych gościńcach prawda być musi. Pójdziemy za Kantem i Niemcami, oni mozolnie ku jasności prowadzą, oni wskazują prawdę i złudzenie.

— Mistrzu! dzięki ci! więc widzicie prawdę oko w oko i przypuszczeni jesteście do jej przybytku?

— Hm, to jest, odparł nauczyciel młody — my dotąd jesteśmy tylko na drodze, ale nie u celu jeszcze. Praca dopiero poczęta! Ale już wiemy dotąd co nie jest prawdą: wywracamy fałsze stare.

— Bndujecie gmach nowy?

- Zakładamy fundamenta, przygotowujemy się.
- I doszliście ? dorzucił baron.
- Prawdy *względnej*, *bezwzględnej* czekamy jeszcze, ale i to z czasem przyjdzie.
- Tej i ja szukam.
- I my także ! To mówiąc profesor usiadł do kart i mruczając odwrócił się tyłem.
- Chodźmy — rzekł Tomko do barona.
- Chodźmy.

XIX.

Coraz większe zrażenie po każdej próbie nowej opanowywało biednego wędrowca ; wychodząc z mieszkania zwolennika nowej filozofji głowę miał spuszczoną, ręce opadłe i myśl zbląkaną zupełnie.

Baron kroczył za nim tryumfalnie. W ulicy spotkali człowieczka zadumanego, który w okularach stojąc u rogu kamienicy zagapił się na dwa psy leżące nad kością. o którą się pogryźć miały. Okrągły i wcale poważny brzusek, twarz rumiana, wyraz spokoju odznaczały go, ręce miał na tył założone, ciepłą czapeczkę nasuniętą na uszy.

— To także nauczyciel ! szepnął baron, znam go nawet trochę, wdajmy się z nim w rozmowę, czas przyjdzie. nie wadzi spróbować.

Tomko nie sprzeciwiał się, a Lucyfer w kilku słowach począł od treściwej historji młodzieńca, któremu narzucił się za przewodnika.

Staruszek słuchał, uśmiechał się i wreszcie gdy psy, z których oka nie spuszczał, puciekały, rzekł idąc

i wiodąc ich z sobą:

— Szczęście wasze, żeście trafili na mnie, u mnie to dowiecie się prawdy. — Posłuchajcie, rzecz jasna i krótka.

— Prawdą jest materja, fałszem jest duch. Ducha skomponowali sobie ludzie przez próżność, aby się wynieść czomkolwiek nad zwierzęta, od których są tylko doskonalsi nieco, w pewnych względach organizacją. Wszystkie idee przychodzą nam od zmysłów i zewnątrznego świata, dusza nasza jest to siła organiczna, siła w pewien sposób związanej materji. Mysł jest sekcją mózgową, płynem niepochwyconym.

— A my?

— Myśmy tylko najdoskonalszemi zwierzęty. I patrzcie no! uważcie! od polypa do nas, jaki szereg nieprzerwany stopniowań; dla czegoż ostatecznie ogniwo łańcucha miało być z innego metalu? Wszystkie fenomeny duszy, są to fenomeny materji i sił nad nią panujących.

— A te siły? — spytał Tomko — to także materja!

— Siły! siły! — odparł stary — są to siły materji.

— Ale nie są materją?

— Jużciż są, chociaż z drugiej strony rzecz to jest niewyjaśniona, a mniejszej wagi, z kąd się biorą siły. Wynikają one przecież zawsze z materji, na nią działają, z nią chodzą, bez niej objawić się nie mogą! a zatem są w pewien sposób materialne.

Tomko głową pokiwał.

— Świat więc cały jest li tylko materją? — spytał, a pierwiastki piękności ładn, porządku, jakie w nim widzimy?

— Dzieła przypadku, moje serce.

— I nieśmiertelne?

— A kto ci to powiedział?

— Dzieje wieków.

— Ba! dzieje chwili powiedz, bo lat kilka tysięcy, to chwila tylko.

— A przyszłość? — spytał jeszcze chciwy młodzienc.

— Jaka? przyszłość świata?

— Nie, nasza.

— Zgnilizna, śmierć i nowe pod nową postacią życie.

— A to co w nas myśli i mówi?

— Zawsze kochanku obalamuca cię ta fikcja duszy, której się pozbyć nie masz siły! Cacko z dziurką dla dzieci! Gdzież u diabła ta dusza? Bawią was jak niemowlęta, którym czego dziś dać nie chcą, odkładają na jutro. — Jutro! przyszłość! Tere fere kuku! będziecie ją widzieli. Dzieci! dzieci!

— Smutna wasza prawda, panie.

— Zapewne, ale czysta i jasna.

— Nie! nie! nie! — zawołał żywo uczeń. — Mówicie nie ma na to, czego nie pojmujecie, czego nie możecie pojąć; mówicie nie ma duszy aby jej nie tłumaczyć, nie chwytąć, abyście nie byli zmuszeni wyznać bezsilności waszej. Ja czuję duszę moję wlaną w ciało, jak wodę w naczynie, czuję że ją to ciało więzi i pęta, że ją krępuje, że nią rzuca; ale nie mniej czuję, że to co we mnie żyje znikomym prochem być nie może. Na toż by dana mi była myśl sięgająca jak Tytan pod niebiosą, by ze mną zgnila i zamarała? Nad wszelkie rozumowania silniejsze we mnie jest to uczucie duszy,

bez którego żyćbym nie mógł! — Wszystko ciałem! wszystko materją? Z każde życie?

— Siła materji.

— Ależ wszelka siła jest duchem niepochwyconym; siła co porusza światy, co żywot daje, co wstrząsa, wywraca, rodzi i zabija, to nie materja, to duch!

— A jakżeś głupio-nparty, moje serce! — zawołał starzec. — Co to darmo cieniaki sobie stawieć... Duch! duch! A materja, zkadże się wzięła materja? Duch li ją stworzył? jestli tak, dla czego i po co? jeżeli nie, więc była od wieku, a była czemś od ducha oddzielnem. Mamy więc *ab ovo* dwoje kłótliwych pierwiastków — kto tu starszy, kto tu młodszy? kto komu z drogi ustąpi! Głupstwo! głupstwo! A jak przypuścisz tylko, co musisz uczynić, przegzystencją materji, toś mój!

— Nie mistrzu, ja też tego nie przypuszczam. Wszystko co jest własnością, *qualitas*, pochodzi od ducha, *quantitas* tylko jest materją. Odbierzcie wszelką *qualitas*, wszelką własność, to jest wszelkiego ducha materji, a rozsypie się w nicość. W ten sposób pojąć możecie, że i stworzoną sprawą ducha z niczego być mogła.

— O! to już bredzisz kochanku! i *de grubis* — rzekł stary ruszając ramionami. — Wszystko powtarzam ci, wbij to sobie w głowę bodaj siekierą czy młotem, wszystko jest materją, a krom niej niema nic. Materja jest nieśmiertelna, objawy jej, życie wiekniście różne. Zresztą przyjdź do mnie kiedy chcesz do domu, bo teraz nie mam czasu, dobranoc.

- Tomko trochę ogłuszony i przybity pozostał w ulicy, potem w myślach cały posnął się powoli za miasto,

w przedmieścia i aż nad brzeg rzeki na której usiadł obrywie, spoglądając pytającym, błagalnym wzrokiem na niebo, wody i świat.

XX.

Baron Lucyfer von Teufel nie opuszczał go na chwilę, biegł za nim, czepiał się sukni, wieszał się czasem na jasnym włosie i ulatywał z nim w powietrzu, dziwne holupce wycinając nóżkami. Gdy Tomko nsiadł, skoczył przed niego, zażył tabaki i ukloniwszy się ze swym grzecznym uśmiechem, rzekł:

— Ależ biegłeś paneczku.

— A, i wy tu?

— Zawsze kochanie moje.

Tomko głowę odwrócił:

Obok niego siedział ktoś nieznajomy, stary, dziwnie łysy (jak kolano z pozwoleniem waszem), schylony we dwoje, wyschły jak stara okładka i tak zamyślony, że nie go wywieść z tego stanu osłupienia nie mogło. Trzymał on wędkę w ręku i patrzył na nieporuszony jej sznurek, który się w wodzie zanurzał. Twarz jego pełna była wyrazu łagodnego smutku, którego czas widzieć długi, zmienił w natręcie. Oczy, usta, czoło uśmiechać się zdawały boleśnie i z litością. Suknia na nim była latana i wytarta do nitki; obuwie sznurkami przy-mocowane do nogi, a czapka, w której leżały robaczki i haczki, prawie od dziur licznych przeżroczysta.

— Dzień dobry profesorze — rzekł baron do niego.

— A co? i to profesor? — spytał Tomko.

— A jakże, i niepospolity! Całe życie także szukał

prawdy, uczył się, pracował i na starość doszedłszy że prawda jest na dnie wody w postaci wielkiej ryby, siedzi z wędką nad brzegiem, żeby ją złapać. — I odwracając się do starca spytał baron:

— Cóż tam prawda, profesorze?

— Zawsze jest nadzieja polowu.

— Ale dotąd?

— Dziś już ją pewno złapię.

— Nie chciałobyśmy przeszkadzać w tak ważnem zatrudnieniu — rzekł Niemczyk — ale oto jest wielkich zdolności uczeń, któryby rad od was choćby trochę historii prawdy się dowiedzieć, jeżeli nie jej samej, bo ona sama jak mówicie stała się w końcu rybą.

— Tak jest! tak jest! stała się rybą i pływa na dnie wód! dziś ją złapię niezawodnie, a jeżeli ciekawy, niech słucha ten pan uczeń — rzekł stary nieodwracając głowy — powiem mu co wiem, a jeżeli dziś jak niemylnie wnoszę, złapiemy ją, to się nią podzielim, i nie tylko my, ale ludy całego świata, jak Lewiathanem na wielkiej wieczerzy nakarmią się do sytości.

— Byleby się wędka nie urwała, gdy ją dobywać będziemy! — rzekł baron.

— Otóż to i mnie frasuje.

— A tymczasem profesorze, ad rem, słuchamy twej historii, którą opowiadasz tak pięknie, uczeń ciekawy i pojętny.

— Słuchajcie, tylko zmiłujcie się, jeźliby się zapała pomożecie mi ją za to wyciągnąć.

— Z całego serca.

Stary profesor odkrzakał i w te słowa mówić począł głosem jak z katedry:

— Jak tylko się człowiek najadł, napił, wyspał,

okrył i uczuł że bestji dosyć, zaraz się domyślił że jest w niem coś drugiego krom zwierzęcia, uczuł się człowiekiem, auiolem, duchem, a czując także głód w duchownym swoim żołądku, począł szukać prawdy, któraby go nakarmić mogła. Ztąd cała filozofja się rodzi.

— Którejby nie było, powiadasz pan, gdyby się człowiek-bestja wprzód nie najadł i nie napil.

— Oczewiście, lecz to mniejsza.

Obróciwszy się na wschód, tę kolebkę rodzaju ludzkiego, ujrzym tam naprzód wyradzającą się ideę prawdy w osobie Bóstwa jednoczącego w sobie wszystko, począwszy od komara do słonia i człowieka. Wszystko zawierał Brahma; a zaraz i to wszystko jakoś rozbiło się na troje; urodziła się z jedności trójca. Trójca znów skleiła się w jedność. Ludzie szukali prawdy zatapiając się w bóstwie, jednocząc się z niem zjednoczeniem takim, że sobą być przestawali.

— Zapomnieli nieboracy na którym byli świecie.

Jakkolwiekbaż, w Indji jako zasadę prawdy widzimy ideę jedności i troistości. Ta troistość od Indjan począwszy po dni dzisiejsze przez Platona płynie w żyłach wszelkiej filozofji i piętnuje wszelką naukę swą tajemniczą pieczęcią. U Persów znów jedno rozbiło się na dwoje i prawda stała się złem i dobrem, walczącym z sobą wiecznie: Ahriman i Ormusd wzniesli się nad ten świat nowy, który walką wszystkiego chciał sobie wytłumaczyć boje doczesnego życia poziome i drobne. Tu wzięło początek pojęcie jakichś zasadniczych idei, które stworzeniu przewodniczyły. Z elementów ogień otrzymał pierwszeństwo, a raczej światło. Chaldeowie wzniesli się nieco wyżej od ziemskiego płomienia do

świąteł niebieskich. W Egipcie wszystko było bóstwa częścią aż do cebuli, o tem wiecie, a zatem wszystko prawda co rzeczywistość, i rzeczywistość bóstwem. — U Hebreów Bóg znówu jeden i wielki, on w świecie a świat w nim; prawda się skupia, człowiek podnosi głowę czując się w stanie upadku. To poczucie się człowieczeństwa jest wielkiem znamieniem! W niem wielkich przeznaczeń rękojnia, w niem tęsknota ku czemuś wyższemu, sięgnięcie do niebios, które mu za-jaśniały. Poznał człowiek jak był nisko i zapragnął się podnieść. Oto w kilku słowach przedhistoryczne, że tak powiem dzieje filozofji. Dalej, bliżej nas śledzić możemy szczegółowiej historją prawdy, nie w narodach już całych, ale w indywidualach, noszących ludy i czasy.

Pocziwy staruszek Thales uważał za prawdę jedyną wodę.

— Dziś już i gęsi nie wiem czyby się tem kontentowały, przerwał baron.

— Początek istniejących rzeczy — mówił profesor. — Za złe mu tego mieć nie można, zważywszy że żył w czasie wielkiego pragnienia ludów. Że przyznawał magnesowi duszę, dowodzi to, że wcale nie był głupi na swój czas, bo i my poczekawszy, do jego mądrości powrócimy z małą odmianą.

Anaksymander w czemś nicopisanem, nieokreślonem widząc wszystkiego początek i prawdę zasadniczą, przyznał przynajmniej skromnie, że niedaleko widział. Uznał to coś niezmiernem, a wszystko co w niem zawarł rozmaitości pełnem i ruchawem. Wcale nie zgorej na początek; są tu już wielkie zasady.

— Zapewne, zapewne, pomruczał baron.

— Ferecydes z Syros, żeby stworzyć ziemię i światy przypuścił Jowisza i materję. Jeszcze i dziś toż samo robią filozofowie. Jowisz nie wystarczał nieborakowi, bo mu się w głowie pomieścić nie mogło, materji stworzenie. Anaksimenes poprawując Thalesa, uznał znów prawdą *powietrze*. Nakoniec wielki Pytagoras jedyną prawdę ujrzał w znajomej tabliczce, krom liczb, to jest krom materji niewidząc nic pewnego. Był to jak widać przynajmniej uczciwy i sumienny człowiek. — Nauka liczb zajęła go całkiem, z niej i przez nią chciał zbadać prawdę. Za nim do dziś dnia tłum jeszcze pędzi, co liczbe uważa za jedyną pewność.

Co do mnie przyznam panom otwarcie, ale po cichu, nie jestem pewien, czy za lat tysiąc, dwa a dwa nie będą robić pięciu. Kto wie, nawet na Saturnie dziś czy dwa razy dwa nie robi trzech? — wielka wątpliwość! Wszystko prawdopodobne...

— Nawet to, że my dziś Leviatana na wieczerzę ludzkości rozplątamy.

— Idźmy dalej, nie tracąc szasu; chwile biegną, mam przecucie, że dzień dzisiejszy będzie dla mnie stanowczy.

U Pytagorejczyków i świat, i Bóg, i dusza były liczbami tylko różnemi. Jeżeli już dziś za złe nie mamy balwochwalcom biednym, że Bogi swe w drewniane ubierali posągi; za cóż wyrznać Pytagorejczykom, że Bóg jest ich wielką wspaniałą jednością! Pytagoras szukał tej prawdy na ziemi i liczby moralnej dla rozporządzenia wedle niej ludźmi; ale to wszystko jeszcze zasadzał na tem, żeby za *dwa* dać *dwa*; to jest na przykład, kto cię dwa razy uderzył, ty mu oddaj ni mniej ni więcej — dwa tylko. Moralność ta matema-

tyczna wcale jeszcze nie była ciekawa. Ksenofones, nowa gwiazda naszej historii, doszedł wielkiego fałszu lub wielkiej prawdy, że z *nieczego być nic nie może*. Jest to na pozór śliczne cacko, ale w istocie fałsz wierutny, bo wszystko powstaje z niczego. Lepiej mu się udało przypuszczenie, że wszystko jest jednej w głębi natury, a ta jedność jest Bóstwem, a Bóg jest *sferą*. Nie miejmy mu za złe tej sfery, bo u nich jeszcze materja nieodłącznie wchodziła do idei Bóstwa, a szukając dla niej formy najdoskonalszej, znaleziono naturalnie — sferę. Prawda więc u Ksenofonesa jest kształtu kuli działowej, dzisiejszej *ultima ratio* społecznego świata.

Kocham Parmenidesa za to, że zmysłów przeczuł fałszywość; bo cóż zmysły pewnego nam dają? U nich dziś białe, jutro czarne i gdyby się człowiek tego nie trzymał, okpiwałyby go co chwila. Nie udało mu się to tylko, że prawdy głębiej świdrując, szukał w *cterze*, ogniu i nocy, na dwóch krańcach, gdzie i światło i ciemność równie ślepią...

— Profesorze skracaj, bo będziemy tu nocowali — przerwał baron.

— Idę dalej, idę dalej, uważajcie tylko na wędkę kochani moi. Przychodzimy do Zenona z Elei; był to mówią przyjaciel Parmenidesa, bardzo godny człowiek, ale że w ruch nie wierzył całkiem a podobno i w nic więcej, było to zeznaniem się filozofji przez jego usta, że sama nie wiedziała co począć, i w co wierzyć, poczytując tymczasem za najpewniejsze, nie wierzyć w nic wcale. Heraklitowi było zapewne znówu zimno, jak wielu jego poprzednikom, gdy swój ogień — prawdę wymyślił i stwórcy ognia powołał do życia; ale

widział on i duszę i musimy mu ogień dla duszy przebaczyć.

Atomy Leucippa były jakby granicą, po za którą nie pozwolono do czasu bujać umysłowi ludzkiemu, mówiąc mu dalej — wara! dalej niepodzielne. Znalazła się też i próżnia obok na umieszczenie atomów, i *przestrzeń* dokuczać przestała. Dusza, wedle Leucippa, miała się składać z porządných, okrągłych (doskonałych) atomów, wydających ruchem swym ciepło i myśl. Ciepło i myśl z jednego rondelka! Taką to i myśl być musiała.

Począł się śmiać Demokryt i doprawdy było z czego; cieszył się nowo narodzonym atomem i pieścił je gdyby własne dziecko, był mu mianką i nauczył go *ruchu*, wodząc na paskach. On pierwszy odlepił *obraz* od *rzeczy* i dał im oddzielną egzystencję. Empedokles, którego pantofle Etna wyrzuciła, brzydząc się natrętem, który w żołądek natury chciał zaglądać, nie był wyłącznie ani przyjacielem prawdy ognia, ani prawdy — wody; rozbił co było na czworo, i z jego łaski mieliśmy cztery żywioły aż do ostatku szkół jezuickich. On także stworzył zasady pociągania i odpychania, nie namyśliwszy się, że pociąganie jedno byłoby wystarczające, bo odpychanie od jednej rzeczy jest skutkiem pociągania ku drugiej. Empedoklesa demony i *demon* człowiek, wygnaniec z raju, przypominają Hebreów: u niego dusza wędrówkę odbywać zaczyna i coraz inny kształt przybiera, oczyszczając się, podnosząc, dążąc do zlania z jednością. Empedokles też zjednoczył się z ziemią, a przez nią z universum, w otchłaniach Etny. Anaksagoras prawdę znowu rozdzielił; materję nie wiedząc jak ją stworzyć, przypuścił

odwieczną, co najłatwiej. Najznakomitszem podług mnie zdaniem Anaksagora jest to, że uznał w świecie niepodobieństwo klasyfikacji istot i fenomenów jak od siekiery — połączenie ściśle wszystkiego ze wszystkim.

Diogenes Appolloński powietrze znówu uznał zasadą, a zasadą *jedną*. — Słowem, jak widzicie, prawd było ile ludzi, ale to nie jeszcze, jesteśmy dotąd w pie-luszkach. Narobiwszy systemów, ludzie opatrzyli się narreszcie, że kiedy jest tyle prawd do wyboru, wszystko jedno jakby żadnej nie było. Poczeli więc nie wierzyć w nie wszystkie. Ostrożny człowiek, bojąc się omylić, wołał wszystkiemu zaprzeczyć i położył się śmiejąc i wątpiąc w barlogu. Był to pierwszy perjod zwątpienia ludzkości, która zwalczona, upadła na ziemię i zamiast pracować chętniej, zaparła się rąk swoich. Wygodnie też było powiedzieć sobie: niema prawdy, bośmy jej nie doszli, a zatem niema praw, a zatem: hułaj dusza!

W tem wystąpił na scenę z zadartym nosem Sokrates, poczciwy strasznie człowiek, który miał bardzo złą żonę, sławniejszą podobno od siebie. Ten jeszcze po trosze wątpił o wszystkim, ale już wpadał na ścieżkę prawdy, wołając: poznawajcie siebie, pocznijcie naukę z głębi waszej, a tak za uciłą pewną pójdziecie dalej. — Alo! hułaj dusza! wołała cała Grecja, i gdy Sokrates odpowiedział jej: — Czyńcie dobrze! poznajcie siebie, umiarkujcie się! — Widzicie dla czego (to jasno jak na dłoni) kazano mu wypić cykute. Sokrates miał tylko *przeczcucie prawdy*.

Z tej wielkiej mnogości fałszów, z których każdy przebierał się za prawdę. wynikło to. że Antisthenes

zalożył, iż wiedzieć prawdę lub nie, rzecz obojętna, a pierwsza być sobie pocziwym człowiekiem i kwita; do świata się jak najmniej przywiązywać, jak najmniej od niego potrzebować i zależeć. Było to zaparcie się duchownej części człowieka, potrzeb jego umysłowych dla praktycznego życia. Ludzkość uosobiona w Diogenesie z desperacji, że prawdy ugryźć nie mogła, siadła w beczce i pila dłonią wodę, wracając do czasów pół bydłych. Któżby to tego nie postrzegł? Z Cynizmu musiał się narodzić Hedonismus, jeden pocziwy, zasadzony na mądrości i enocie, drugi niepocziwy, jedynie oparty na rozkoszy. Nie mogąc dobić się prawdy, ludzkość usiłowała przynajmniej używać — mówiąc sobie: tyle mego!

— Pilnujcie wędki, ja idę dalej, mówił stary, droga jeszcze długa. Cynismus, Hedonismus, Skeptycyzm wszystko to dziatki jednej matki — dzieci rozpaczy w dochodzeniu prawdy, zawsze jeszcze niedoścignionej, i osłonięj nieprzejrzystą szatą.

Dalszym ciągiem tego samego uczucia ludzkości, objawiającego się w jej przedstawicielach, jest Pyrrho z Elidy, apatyczny Pyrrho, ojciec niewiary pochodzącej z zawiedzionej i zbyt prędkiej ufności w marzeniach. Prawda poczęła się coraz bardziej gmatwać w słowa, poczęto ją coraz bardziej przywiązywać do formy, zasadzać na wnioskowaniach zręcznych; sztuczki ze słów plecione uważano już za jej poszukiwanie. Aż nareszcie zajaśniał boski Plato! Boski Plato łączył w sobie krytykę tego co minęło, przeczucie tego co przyjsć miało, i siłę stworzenia nowej teraźniejszości.

Idea, wyrzekł Plato, jest prawdą, i idea tylko sama; krom niej wszystko zmienne, fałszywe. W nas

jest idea wszystkiego i miara prawdy. Cznjemy prawdę naszą o niej ideą wrodzoną. — Bóg — idea, Demiurgos panuje światom — idei, sam idea, sam duch. Między ogniem a ziemią łącznikiem woda, u Platona jest objawem prawdy zasadniczym, jest żywiołem pośrednim. U niego wszystko troiste i dusza ludzka także.

Lecz za długobyśmy prawili o boskim Platonie, który chciał stworzenie świata odgadnąć i wszystkie poprzednie systemy zlał w jeden swój własny. Nieśmiertelność duszy, uznanie jej, oto wielkie jego kroki na drodze prawdy; enota jako łącznik między Bogiem a człowiekiem, jako westchnienie ku Bogu — idei — pogarda zmysłowości — oto jego zasługi dla moralności powszechnej.

Arystoteles sławniejszy może później od niego, był to zręczny człowieczek, co spadek po swych poprzednikach uporządkował, urządził, rozklasyfikował. — On to utworzył i podniósł wysoko logikę jako organon wszelkiej umiejętności, i zbudował to pocieszne coś, któremu długo kłaniali się ludzie, nie mogąc tym stępiąłym scyzorykiem nawet lupiny prawdy otworzyć. Arystoteles ma wielkie zasługi na drodze naszej, mianowicie, że wyczerpując we wszystkich kierunkach zdalnych kilku prawd wniośki. wstrzymał postęp ludzkości, która czując się wyręczona przez niego, poszła spać na długo. Wszyscy byli pewni, że po Arystotelesie nie było już do zrobienia.

Wole już Epikura, który się w prawdę nie wdawał, czując ją za wysoko dla siebie, a uczył żyć grzecznie, pięknie i słodko, nikomu w drogę nie włącząc. Nie wiele umiał, kontentował się zmysłami wszystko

do nich odnosząc; celem życia nznając nie *poznanie* prawdy i podniesienie się duchowne, ale *użycie*, rozkosz...

Ludzkość już w różne drogi się puściwszy, napróżno szukała oparcia się gdziekolwiek, a nigdzie stałego znaleźć nie mogła, i Stoicy usilowali ją wstrzymać w jej gorączkowem miotaniu się. Niezapuszczając się zbyt daleko, Stoicy usilowali trzymać się na zdrowym rozumie, przezeń wyrobić sobie jaką taką prawdę na codzienne potrzeby. Za prawdy służyły u nich dwa początki, dwie zasady — *materja i Bóg*. Znowu więc ta nieszczęsna dwójka, znów walka, tylko że materji obcięto pąz nogcie i niezyniono ją zupełnie bierną. Boga umieszczono w śród świata na pościeli tej bezwładnej materji, której przecież stworzenia przyznać mu nie chcieli. Nad głową jego zawieszono Fatum, inaczej prawo! i zamknięto drzwi świątyni na wieki. System Stoików był jak wszelki późno przychodzący, mieszanina, zlepkiem: a było w nim wszystkiego po trosze. Co najwłaściwiej ich jest, to pojęcie stałości w życiu człowieka jako elementu moralnego, jako siły nowej, i pojęcie solidarności całego życia. którego złem jest skoro się mieni i szuka. Prawda ich była surowa jak oni, nie miała serca. Sceptycyzm pod różnemi formy panował światu, a prawdy szukano w wątpliwości, co zresztą do naszych prawie czasów dotrwało.

Pojęcia o Bogu — prawdzie, przychodziły przecie do ndoskonalenia, oczyszczały się; Carneades, który pierwszy posadził ludzkość o Antropomorfizm, podniósł wysoko Boga i ukazał go wyższym już niejako nad pojęcie nasze. — Prawda jaśniała niepo-

chwycona nad horyzontem....

Opowiadanie starca przerwał baron okrzykiem:

— Profesorsze! profesorsze! schylasz się nadto. Ale jeszcze tych słów nie domówił, gdy starzec któremu wędką zadrżała w rękę, w obawie aby złapanej prawdy nie opuścić, rzucił się naprzód chwytając łapczywie wędkę, pochylił, zachwiał i upadł w rzekę, tak, że tylko dziurawe jego buty ukazywały się nad wodą...

Tomko bez namysłu rzucił się za nim ratować, a Tenfel zażywając tabakę, szeptał patrząc obojętnie:

— Teraz to się już prawdy domacacie nieochybnie.

Próżne były usiłowania Tomka, który starego chciał wyratować, ogromny sum złapał się był na wędkę i ciągnął go na głębią, a młody chłopiec sam począł tonąć, napróżno szaleńca usiłując zdobyć. Wreszcie zalany wodą, na wpół żywy, szamocąc się ze starym, gdy postrzegł że siły go opuszczają, smutny wyrwał się na brzeg rzeki.

— Szkoda reszty historii filozofji, zawołał baron do Tomka, który się drapał na urwisko, ale teraz już jeden z was niechybnie prawdy się dowiedział; my chodźmy do domu, bo się jeść zachciewa.

XXI.

Przez kilka dni jeszcze od drzwi do drzwi błakał się Tomko napróżno; jeden mówił mu: Prawda jest mój system tylko, prawdą jest tylko moja prawda którą wykładam.

Drugi powiadał skromniej: — Nie wiem co prawda.
— Wszakże jej uczyćcie?

— Tak jest, ale uczyć a wiedzieć to wcale co innego.

— Gdzież sumienie?

— A kto da chleba darmo?

— Wolalbym drwa rąbać.

— Na to, nie zgoda.

Inny, co świeżo przeczytał traktat teologiczno-filozoficzny zakazanego Spinozy, zaręczał że świat jest jedynym Bogiem, ludzkość świata koroną, Boga objawem. Domyślał się już co Hegel zrobi genialną ręką szczerpiąc latorośl platońską na płonce Spinozy.

Jeszcze inny powiadał mu: prawdą jest serce i uczucie, to coś niepojętne, wrodzone, które przynosimy z sobą z innego świata..

Uczeń Kartezjusza powtarzał: — Wątp zawsze a dojdiesz prawdy — dodając z Pascala tą myśl wyszarpiętą a może spaczoną:

Le pyrrhonisme est le vrai.

Tomko tego bardziej od innych założeń pojąć nie mógł. Wiecznie wątpić, jestże to żyć?

Artysta, powiedział mu: Prawdę co piękne! piękne w świecie materialnym zowiecie dobrem i sprawiedliwym, w życiu szczęściem. Wszystko jest aspiracją ku pięknemu, piękno jest prawdą jedyną!

Na to zaraz praktyk odpierał: — Gdzież zastosowanie i użytek piękna?

— Piękno samo w sobie ma swój cel, jest to odbłask najwyższej piękności, nieśmiertelnej, jego użytkiem że duszę podnosi, że wznieca to uczucie, co nas przybliża ku ideałom, ku niebu! Ono jest wspomnieniem pierwotnej ojczyzny jakby piosenką, którą wygnaniec nuci tęskny, przypominając lata dziecinne; ono jest modlitwą do Boga.

— Prawdą jest nauka, przerwał inny, nanka gdyby nie więcej nam nie dawała nad szeroką drogę bez celu i końca, nie jestli najlepszym ku górze gościńcem?

— A na tej górze?

— Szczyt tej okryty chmurami, i mniejsza o to, byleśmy ku niemu postępowali.

Naukowy postęp to wszystko, to prawda jedyna. Znajdźcie mi co by silniej zajęło, co by wyżej uniosło nad to szperanie w tajemnicach natury, w prawach nieznanego. Ona oswobodziła Archimedesą od uczucia śmierci nawet, której nie postrzegł nadehnózącej, zadumany nad swoim zwojem. Jestli szczęście mniej podległe zmianom, stałsze, pewniejsze nad to, które daje nauka?

— Nanka jest fałszem, przerwał inny, wśród żywego życia uczony jest czeńś niepojętem, on nie żyje, ale uczy się życia, a gdy abecadło skończył, umiera. Umiera niepewien niczego, nieskosztowawszy uczył mu przez Boga zgotowanej, skeptykem zmnżonym; wartoż się było rodzić na to?

Prawdą więc jest nżycie? pytał Tomko.

— Nie, przerwał inny, nżycie jest nieskonczonym zawnodem, pragnienie jest roskoszą i prawdą.

— Ale pragnienie jest czeńś niedoskonalem, nie pełnem, nie całem?

— Bo też w piersi wiecznie tkwiące, powiada nam, że żywot nasz tutaj nie jest cały i skonczony. Ze wszystkiego co przeczcuciami drugiego życia nazwać się może — jako i miłość która jest przeczcuciem zjednoczenia wszystkich w jednym; ciekawość która oznajmuje nam mądrość i wszechwiedzę w Bogu; zamilowanie piękna które zwiastuje doskonałość przyszedłego żywota —

pragnienie, przeczucie najwyższe! najwyraźniej nam mówi nigdy niemogąc być uspokojone tutaj, że napój do ngaszenia go nie na tej brudnej ziemi płynie. Bóg wszystkie te *przeczucia* złożył w sercu człowieka, ale człowiek źle je pojął i na złe ich użył.

W ostatku przyszedł ktoś jeszcze i szepnął do ucha Tomkowi: Postęp, to prawo ludzkości, to prawda! idźmy naprzód!

— Dokąd?

— Do szczęścia, do absolutnego szczęścia ziemskiego.

— Na ziemi?

— Tak, nie inaczej.

— A walka ze światem, z materją, z ciałem własnym, z pierwiastkiem zniszczenia, który jest z drugiej strony materjałem nowego żywota?

— Ten bój musi ustać; zwyciężym buntowniczą materją, podbijemy ducha, udoskonalim człowieka, użyjemy jak sprężyn namiętności jego; opanujemy świat i damy mu szczęście.

— Kiedy?

— Nie wiemy jeszcze! wkrótce! wkrótce! ludzkość wielkimi idzie krokami, coraz szerszemi a szerszemi i dościgać się daje celu.

— Cóż nim zowiecie?

— Co? dobry byt, szczęście.

— Dobry byt więc ziemski celem waszym?

— Podstawą przynajmniej.

— Potraficież zniszczyć co w życiu z natury jego jest znikomego, zmiennego, uległego stratom, podlegającego wypadkom?

Na to ostatnie pytanie zniknął ruszając ramionami przyjaciel szczęścia ludzkiego.

XXII.

Po kilku tygodniach pobytu w mieście, Tomko stał się do siebie niepodobnym: zrażony, ostygły, osłupiały, zadumany. milczał w chorobliwym jakimś odretwieniu zostając. Było to coś na kształt Bramańskiego zatopienia się w wielkiej istocie, chwila bezmyślnej martwości, brak woli, brak pragnienia, brak żywota; nie rozpacz ale zobojetnienie od niej straszniejsze. Baron patrzył na niego z uśmiechem politowania, przychodził coraz rzadziej, gniewał się coraz częściej, nareszcie jednego wieczora napróżno usiłując go wciągnąć w nowe badania, w nowe go rzucić zajęcie i zanięt, plunął, szusnął nogą i zniknął.

Dymek tylko smrodliwy zakurzył się za nim, a Tomko pozostał sam jeden.

Co się później z nim stało, nie wiemy; jesienią późną dopiero, odarty, w łachmanach na ciele i duszy, włókł się drogą ku domowi, sam prawie niewiedząc dokąd idzie.

XXIII.

Jak w wielkim tłumie, którego tysiąc głosów się kłóci, wrzały myśli niesforne w głowie biednego Tomka; w sercu jego było pusto, i wiatr tam tylko przelatywał chłodny.

Reszta rychło wyczerpanego życia, schroniła się pod czaszką, ale tam stypę obchodziła przedśmiertną, pogrzebową sprawiała sobie hulankę. Szedł i nie pytał już o prawdę ani świata, ani ludzi, ani siebie, ani Boga

... czasem głosem w nas mówi wewnętrznym i wszystko dlań było obojętne.

Wspomnienia rodziców, domu, kątka kraju, świadka lat dziecińczych — zamarły, ucichły, milezały. Łachmany tylko myśli czarnych pędziły się jak chmury burze poprzędzające w głowie jego, świszcząc i kłócąc się z sobą.

— Prawda! Jest prawda! Niema prawdy! Wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem, wszystko uludą, powtarzał.

I znużony padł spocząc na kamieniu, głowę gorącą oparł o drzewo i powtarzał zadumany przez sen: Niema prawdy!

W tem nadciągnął stary o kiju, Dołęga.

— Co ci to jest Tomku? spytał go łagodnie.

— Chory jestem — o! bardzo chory, odparł ledwie go poznając uczeń.

— Cóż cię boli?

— Boli? nie mnie nie boli, chory jestem i nie pragnę zdrowia, chcę tylko śmierci; śmierć kończy, chcę końca.

— A prawda twoja?

— Prawda! ha! to nicość, to zniszczenie, to spokój bez życia, to zagłada, to śmierć może.

— Biedną chłopię! Wstań i posłuchaj mnie — rozbudź się znajomym ci głosem. Puściłem cię na świat umyślnie, abyś własnymi siły zmierzył się z olbrzymem prawdy. Aleś ty mu nie podolał, obalony na ziemię jęczysz i narzekasz. — Posłuchaj może cię ulecze.

— O! nikt! nigdy.

— Szukałeś prawdy absolutnej, jedynej, w zdaniu jednym, w miejscu i kątku pewnem, w kilku słowach

ludzkich zamkniętej, w wyłącznej jakiejś istocie, w jednym rodzaju żywota; a prawda nie jest ani w słowie jednym, ani w chwili jednej, ani w jednej istocie, ani w myśli ludzkiej tylko. Prawdą jest wszystko co istnieje, prawdą jest życie, byt; a najwyższą prawdą jest źródło żywota — Bóg. On rozsypał w duchu którym ożywił ziemie te obłamki prawdy, coś je dziecino moja zbierać chciał po okruszynie; a w każdej skorupce niebieskiego naczynia tyś je chciał znaleźć całe.

Nie znalazłeś prawdy, boś jej tam gdzie szukałeś znaleźć nie mógł. Prawda to naczynie rozbite, którego szczątki tylko odgrzebywałeś z popiołów i gruzu, cała stoi tylko i jaśnieje w niebiosach. Prawda jest w Bogu, a Bóg jest prawdą, co pochodzi z ducha; wszystko fałszem co rodzi się z ciała i materji, to jest ze śmierci.

Prawda jest złotą nicią wśród szarej tkanki, przesuwającą się we wszystkich tworach, we wszystkich żywota godzinach. Różne jej strony widzisz w różnych Boga dzielach; nigdzie jej całej niema.

W piersi ludzkiej tylko jest to pojęcie potężne jedności i całości prawdy, które starczy za nią samą.

To pojęcie jest jako obraz słońca w kropli wody; ale w odbitem słońcu co się lśni w kropelce, niechże astronom je rozmierzy, niech gwiazdarz wielkość jego pochwyty!

Tem pojęciem prawdy, które się rozkłada w nas na pozornie oddzielne pojęcia: dobra, piękna, prawa, pożytku, a jest jednostką, wysoko stoi człowiek. Gdy reszta stworzenia ma tylko cząstki ducha, człowiek jeden ma w sobie całość, ma duszę. Od kamienia do najdoskonalszego ze stworzeń wszystko ma tylko pożyteczną odrobinę duchową, co mu życie daje; jedni my

mamy całego ducha, duszę i udział drobny, ale całość stanowiący, ale pojmujący siebie, władający sobą. Bóg stworzył nas na podobieństwo swoje, to jest całkowitemi w sobie. Tomku, słyszysz ty to?

Tomko zdawał się przebudzać, ale słowa mistrza jeszcze go nie uspokoiły.

— Gdzież szczęście? spytał słabym głosem.

— Szczęście całe tam, gdzie to wielkie naczynie o którym ci mówiłem, szczęście całe jest w niebie, obłamki jego leżą do kola; a nie trzeba ich zbyt głęboko szukać; nie trzeba się spodziewać całego i pełnego szczęścia jakie pojmujemy, bo tu go nie znajdziemy.

Nie szukaj go w dobrym bycie, bo ten jest i być musi tysiącom zmian uległy; nie szukaj nadewszystko w sobie, i siebie jak zwierze nie czyni celem stworzenia a ogniskiem wszystkiego. Winienes wiedzieć, że ludzkości całej szczęście, celem każdego z jej członków najświętszym, że cała ludzkość twym bratem, a miłość bliźniego nie tylko obowiązkiem. nie tylko cnotą, ale prawem jest twojego bytu. Jak skoro z pod tego prawa pojedynczy człowiek chce się wylamać, spotykają go zawody i cierpienia bez celu, bez ratunku. Pojedynczy człowiek znikomy jest i nikczemny; cała ludzkość ze swą różnaitością i wielkością i całą przeszłością i polami przyszłości stanowi dopiero ideał człowieka, którego ty jesteś odrobiną. — Nie szukaj prawdy w samym sobie, ani szczęścia w sobie samym, staraj się o szczęście drugih, żyj cały w braciach, umiej się poświęcać, a znajdziesz i prawdę żywota i szczęście.

Za poświęcenie nie szukaj nagrody, ani chluby, ani pragnij aby się na niem poznano, ani mów o niem; poniżaj się, boś w istocie małym zawsze, póki wielkim się

sądzisz, boś znikomym, słaby, drobny w obliczu Boga — obliczu ludzkości nawet.

W nauce prawdą jest, że nie spełnia nie umiemy, nie wiemy, że na najwyższym szczebla umiejętności ludzie upokorzeni wołają: — Wiemy że więcej jest daleko nad to co umiemy i rozumem naszym dojść możemy. Głupcy tylko mniając się mędracami wołają: Myśmy posiadli wszystko, pojęli wszystko! Są to umysłowi Chińczycy, którzy po za granicą Chin swoich nie już nie wiedzą.

Na dnie istotnej nauki, pokora; ale człowiek który się czuje słabym i ograniczonym, podnosi się tem niezuciem nad wszystkich zarozumiałców, czuje on cały ogrom pozostały za granicami jego wiedzy, wzdycha do niego i jest Kolumbem co czuje Amerykę, gdy gmin, podobien Genueńczykom, nie wierzy w inną ziemię, nad tę którą oplugawił.

W świecie moralnym prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie części w całości, spojenie z jej losami. W świecie domowym prawdą jedyną jest miłość, pobożanie i poświęcenie, znowu żywot ducha a nie ciała; usamowolnienie umysłu i dnszy, spętanie zwierzęcej części człowieka.

Tomko słuchał, oczy mu się rozjaśniały.

— Mistrzu mój, rzekł, lecz czemu popęd ku wiedzy i cheiwość poznania wszystkiego?

— Jest to popęd szlachetny, jest to przeczucie świata w którym wszystko znać i wiedzieć będziemy, z wszystkiem się w Bogu w całość połączym. Ale nie myśl, by nauka była najwyższą zasługą człowieka, a wiedza szeroka problemem jego doskonałości.

Nie, stokroć nie! Jesteś w błędzie! Czyn jest wyż-

szy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki.

Człowiek co nic nie wie, prócz pierwszych prawd z którymi się urodził, a które rozwinęły w nim życie pocziwe i pracowite, często wyższy jest od mędrca, co wszystko wie, w nic nie wierzy i nic nie czyni.

— Żle więc zrobiłem idąc szukać prawdy?

— Żle? nie — lecz prawda jest wszędzie; ona otacza nas. Jak zewsząd prócz wiezienia widać niebo, tak ze wszystkich stanowisk życia prócz zezwierzęcenia które nas czyni niewolnikami, widać prawdę nad głowy naszem. Bądź zdrow, idź do domu. Tam cię czeka reszta nauki, tam i mnie może jeszcze zobaczysz.

To mówiąc podał rękę Tomkowi, podniósł go na nogi i odżywionemu nieco, wskazał drogę ku rodzinnej chacie.

XXIV.

Któż kiedy nie wracał do domu z zawodem i żalem?

Chwila to bicia serca i zawrotu głowy, gdy z za pagórków i drzew ukaże się ta chata z której człek wyszedł z nadzieją, do której wraca z boleścią; którą żegnał radośny prawie, a wita smutny, zwałczony i ranny. Cóż nas tam ciągnie i woła pod ten dach słomiany? Czy te lata minione co leżą pod drodze jak zeschłe liście drzew w jesieni, czy nadzieje wykarmione co z tąd leciały gołębiem, wróciły krukami, czy ludzie których pierś nie starczyła nam przed laty, do której teraz przytulić się chcemy zziębli, szukając w niej ciepła po chłodzie świata?

Tomko zbliżał się drżący i płakał. Po raz to pierwszy od dawna łyzy wezbranego serca, strumienie z którymi tyle spływa uczuć, tyle boleści nnosi się w morze łez ludzkości, gdzieś nad Jozefatową rozlewające się doliną, aby świadczyły za człowiekiem przed Bogiem, że umiał kochać i cierpieć — po raz pierwszy od dawna łyzy poszły z jego oczu, a głos myśli natrętnych ucichł przed głosem serca.

I czy te łyzy były prawdą, nie spytał, bo czuł to głęboko, że wszelka boleść nawet najmniejsza jest świętą i prawdziwą, a kłamana występkiem.

Jakże tu nie się nie zmieniło!

Wracał do domu, gdzie zda się jednym krokiem nie nie postąpiło ku starości, gdy on w tak krótkim czasie tak bardzo postarzał. Tym wiejskim powolnym żywotem dłużej się żyje, a im kto gorętszą kąpiel bierze, tem krócej w niej trwa. Tak było z Tomkiem, bociany nowych gniazd nie układały, na strzesze mech nie porósł, trawa nie pożółkła w podwórku, a on tak żółkł i zestarzał!

Majestatyczny zachód słońca rozpromieniał się na niebiosach i w blaskach zachodu, we wrzawie barw na tle ognistem wyiskrzonych, zdawało się słyszeć muzykę aniołów co przygrywała dnia końcowi, i kołysała ziemię do spoczynku. Ptastwo i wszelkie stworzenie ziemi co jeszcze nie ma tyle rozumu, by sztucznie utworzyć sobie życie, spieszyło do snu na rozkaz nocy. Ciągnęły kaczki dzikie po nad dworkiem, stada szły becząc i rycząc do otwartych im szeptek, a lud prosty wracał od pracy z weselem w sercu.

Na ganeczku dworka siedziało ludzi dwoje, starców dwoje; oboje milczeli, obojga oczy a myśli nosiły się daleko.

Nie mówili a rozumieli się myśląc o swoim dziecięciu.

Syn marnotrawny powracał.

Na wschodach ganku siedziała Małgosia i bawiła się ze starym psem podwórzowym; kury i gołębie szczebiocząc chodziły koło niej, zaglądały jej w ręce. Skrzypiał zóraw od studni, bo trzódkę poili pastusi; z kościółka dzwonek wieczorny dźwięcząc pacierze za zmarłych przypominał.

Chwila to była na wsi uroczysta i uroczą.

Nagle wiatr powiał, i jakby niósł z sobą zasłone wieczorną rozwieszając ją po niebie — ściemniać się zaczęło.

Starzy podnieśli głowy i spojrzeli sobie w oczy.

— Moja panno, rzekł szlachcic, Bóg łaskaw, Tomko powróci, niema się czego trapić, dziecko trochę postrzelone w głowę, ale serce ma dobre; nie mu się przy opatrności bożej nie stanie.

— Mam i ja tę nadzieję co jegomość, ale czemuż choć nie nakazał do nas? wiadomości nawet nie dał o sobie?

Snąć nie mógł.

Małgosia słuchała.

— Serce mi mówi jejmościuniu, że rychło powróci, jeno go nie widać. Biedakowi ten stary Dołęga głowę przewrócił, ale to się na świeżem powietrzu wyszumi.

— Daj Boże! uproś Matko Najświętsza!

Gdy to mówili, Tomko z za wrot poglądał oparty o starą lipę, patrzył w dziedziniec domowy, a nie śmiał się zbliżyć, a serce w tej chwili rozwiązywało ostatnią zagadkę, którejby głowa nie podolała.

— Szczęście nie jest-li to spokój, wśród bożego świata,

wśród cichej, ustronnej wioski? Te powolne godziny jeduostajnie płynące, nie są-li najdroższymi chwilami naszego życia?

Tych dwoje starców bez zgryzoty, bez zmarszczki na sumieniu, dokończających wieku swego wśród błogosławionych ich kilku rodzin, nie są-li wieksi w obec Boga, którego znają i kochają, nad olbrzymów wiedzy, bohaterów wojny, co we wizawie zapomnieli trochę o sobie, a całkiem o Bogu?

W ich życiu jest-li próżna chwila, któraby nie-była czynem lub modlitwą, to jest westchnieniem ku niebu? Ciemni są, ale ich ciemnota nie zakrywa przed niemi nieskończonej wielkości Boga, braterstwa ludzi, cudów świata, cudów życia i nadziei wieczności cudniejszej jeszcze. Mali są, ale w miarę swoją uczynili więcej, niżeli nie jeden z tych co mógł, a nie kwapił się do czynu, bo szczędził siebie, bo siebie tylko kochał.

Mówił a łzy znowu mu do oczów się toczyły.

— Prawda jest w sercach pocziwych, zawolał, prawda jest gdzieśmy bliżej Boga. Nie! nie, ani mądrość wasza, ani miasta wasze nie są prawdą!

I rzucił się ku domowi.

A na ganku podniosły się ku niemu ręce, zadrgały serca; bo go wszyscy pod łachmanami poznali, nawet pies — nawet Małgosia!

Jeśliś się w czasie głośnego tej powieści czytania wyspał miły czytelniku, jeśli cię Tomko nie zajął, nie obawiaj się wyznać mi tego otwarcie. Spodziewałeś się zwyczajnych bohaterów i prostej powieści, a trafiłeś na coś na kształt długiego monologu, często słyszanego w duszy i znajomego ci może aż nadto (jeśliś kiedy w głąb swojej duszy zstąpił). —

Jeśliś spał nie gniewam się wcale; jeśli przeczytawszy spytasz z gniewem: — Czegom cię nauczył? odpowiem ci: Nauczyłem cię, że w duszy twej są głosy których posłuchać warto, one ci więcej i piękniejszych rzeczy powiedzą nad te, które słyszałeś odemnie. A teraz bądź zdrow.

Grudek — Hubin — 1849 — 1850.



K O N I E C.



Rh 15.5
49

4.

300—

Biblioteka Raczyńskich

JIK 1473



JIK1473